Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

POGADANKA MYŚLIWSKA

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

I.

Wprawdzie moja korespondencya nieco spoźniona z powodu nieczytania „Łowca“ w swoim czasie, gdy zaś komisya wysadzona w celu uzupełnienia naszej ustawy łowieckiej z pracami swemi nie gotowa, ośmielę się dorzucić kilka uwag opartych na doświadczeniu długoletniem. W pełni się przyłączam do trafnych uwag spisanych przez hr. L. Starzeńskiego w majowym numerze „Łowca“ i w rzeczywistości wyznać muszę przekonanie, że przez opóźnienie powierzonej pracy komisyi, łowiectwo nasze na straty narażonem jest. Wprawdzie my do tego dosyć przyzwyczajeni, że nasze sprawy wpadają głęboko do kosza i giną, lecz z drugiej strony, gdy komisye zaniemogą, wtedy albo inne wybieramy, lub też osłabione wzmacniamy. Zanim elaborat będzie ukończony, zgromadzeniu przedstawiony, przedyskutowany i poprawiony, bo my zawsze dziwnie płodni w poprawkach, nawet często poprawkami nasz własny płód zabijamy, minie rok drugi ze szkodą kraju i myśliwych. Jeżeli chcemy dopiąć celu, chciejmyż i środki wynaleść, aby stagnacyą usunąć.

Ze stanowiska ekonomicznego pożytek i szkody, wyrządzane przez ród lisi, podpadałby dyskusyi, zaś ze stanowiska myśliwskiego musi być na zagładę skazany. Drapieżne jego żarłoctwo, przebiegłość wyrafinowana, zręczność w łowieniu, płodność i jego tak nam niebezpieczne wędrówki, oto co wywołuje ten surowy wyrok. Zdarzało mi się nieraz wystrzelać wszystkie lisy w mych rewirach i już tropu nie widywałem, w przyszłej jesieni było znowu więcej, jak w ubiegłym roku. Pamiętam w życiu mojem cztery lata tak obfitujące w lisy, że po 50—60 zabijano w lasach nie dostarczających jak po kilka na rok. Oczywiście zwołały się lisy z dalekich stron na obfity żer. W śnieżnych zimach lisy opuszczają w znacznej części góry i jak dziady włóczą się po dołach szukając oczywiście miejscowości z myszami i zwierzyną. Bo co prawda, to prawda, sumienność nakazuje ją wypowiedzieć, lisów ulubione przysmaczki są myszy i te w nieskończonej ilości łowią i pożerają, a gdy już więcej ich spożyć nie mogą, wtedy zabijają je, odgryzają główki, resztę myszołowom pozostawiając. W najdawniejszych dziełach wzmianki bywają o myszkowaniu lisów, a kto doznał klęsk przez myszy zdziałanych w oziminach, koniczynach i w stertach, ten łagodniejszem okiem patrzy na lisy. Pomimo że mi myszy w czasie mego gospodarowania nie mało chleba i obroku zjadły, muszę wystąpić jako prześladowca, co też słowem i czynem udowodnić pragnę. Życiorys znanego szkodnika byłby zbyteczny, krocie piór wysilały się od wieków na szkicowanie obrazków z jego życia i nie jedna myśl wcisnęła się w tajniki zbrodniczego zawodu. Gdy zaś przyroda

pod zasłoną zachowuje krocie rysów, zawsze nowych i zadziwiających, to wykrycie każdego musi być zajmujące dla myśliwego.

Przeciętnie rzucają liszki młode 4 do 5 lisiąt, starsze 7—8, najznaczniejsza liczba przezemnie sprawdzona była dziewięć, a tu czytam w czasopiśmie „Waidmann" raporta udokumentowane o jednej płodnej nad miarę, która obdarzyła okolicę dwónastoma, a druga pietnastoma lisiątkami. Łatwo sobie wystawić wyrządzoną szkodę przez liczne rodziny sprytnych rabusiów. Gdyby tym podobne liszki zamieszkały rewiry naszych ustawodawców, z pewnością żaden nie jadałby zajęcy, kuropatw i przepiórek. Niekiedy nasuwa się podejrzenie o chęci posiadania skórek futrzanych przez nakaz szanowania lisów od Kwietnia do końca Września wtedy, gdy rodziny lisie największe spustoszenia czynią w polu i w lesie. Nie jeden z wytrawnych myśliwych wątpi o możności pożerania sarniąt przez lisy, a w rewirach obfitujących w tę zwierzynę lisy polują na sarny, jak w innych na zające, śledzą i gonią z dobrym skutkiem. Nie pamiętam już zimy, obsypującej nas śniegami do połowy Kwietnia, wszakże lat temu kilka w głębokim śniegu szła koza, za nią z wysileniem postępowało koźlątko, a za niemi śladem lis. Ten pochód nader pomału się odbywał, lecz i dla człowieka pogoń była nie łatwa, gdy leśniczy doszedł sarniątko, już było nieżywe i krwią zbroczone. Dlaczego lis goni cicho, a z jakiej przyczyny chrypliwy głos niekiedy wydaje w pogoni za ofiarą, to pozostało do tej chwili tajemnicą dla mnie. Dwa razy słyszałem lisy głosem goniące i widziałem uciekającą sarnę z małym, którą doszedł i zadusił, drugi raz gonił zająca. W rewirach z królikami, czy z chciwości czy dla obałamucenia, głoszą lisy i niemal każdego królika dojdą i rozedrą. W sąsiednim lesie leśniczy spotkał czworo lisiąt borykających się z młodą, lecz już dosyć dużą sarneczką w obec przypatrującej się matki. Stojąc na linii w czasie ciągu słonek, spostrzegam z niepospolitem zadziwieniem lisa niosącego czyli wlokącego przez linię udziec sarni w mordzie. Nie podpada więc żadnej wątpliwości, że lisy z dobrym skutkiem polują na sarny, takowe śledzą i wypatrują, a zatem wyrządzają nam niepospolite szkody. Oczywiście na tej zwierzynie zaprawione już nie łowią innej, gdyż to kęs spory i łatwy do spożycia, sarniątka są nad miarę bojaźliwe i nieradne, z tej to przyczyny tyle ich bywa przez ludzi łapanych. Przypominam sobie kwilenie sarny piskliwe, gdy w to miejsce pobiegłem, błysła mi jeszcze kita z białym końcem. Czy łowią stare sarny, twierdzić nie mogę, oparty na własnem doświadczeniu i o ile mi się zdaje, ani gonią ani łowią wyrośniętych i jeżeli są zdenuncyowani, to pewnie o sarnę z postrzałem. Pracowity nasz rabuś nader krótko sypia i to kilkakrotnie w dzień i w nocy, więc ślad postrzelonego zwierza zawsze zdybie. Najczęściej idąc za sfarbowanym śladem drugiego dnia, spostrzegałem ślady lisów, a niestety często bardzo lis mi wyjadał smaczny czomber.

W wychowaniu młodych odznaczają się lisy wyjątkowymi zwyczajami, niekiedy trudno uwierzyć, że ostrożny lis progeniturę swą zostawia w budynkach i na gumnie. Ile przezorności, ile przebiegłości musi mieć zwierzę, aby zataić swą obecność wśród ludzi, o czem się sam przekonałem. Dlaczego liszka mając wygodne i wywodne jamy w lesie, połóg odbywa w sągowym drzewie wśród łupek? Czy z przyczyny prześladowania czy z innej wynoszą się lisy w ogołocone pole, zmuszone do nader tajemniczego życia, często o głodzie, nie mówię tu o polnych wywodnych jamach, lecz o kryjówkach, które zgłębiają, lub w wodomyjach, w których z pewnością niktby lisów nie szukał. Ciekawe wyjątkowe zdarzenie opisać tu muszę. W lesie stał spróchniały odwieczny dąb nieco nachylony, na korze gut na gucie, jak olbrzymie wrzody starości, pień przy korzeniach odkryty, dziópło otwarte do pierwszych gałęzi dębu ogołoconego z korony. Wypatrzono lisa na suchym konarze czatującego, a gdy drugiego dnia odbyto poszukiwania, odkryto cztery młode lisięta w dziópłe konaru, horyzontalnie rosnącego. Okazało się, że lisy od dołu wchodziły dziópłem do góry, a z dwóch gałęzi zeskakiwały jak koty na ziemię i to była ich kolebka. Kto posiadał lub zwidzał lasy ongi bez leśnego porządku, ten wie, że drzewa nieczułe na siekierę, zostawiano na wieczne czasy i nareszcie te olbrzymy waliły się na ziemię nie pękając, gdyż to drzewo było jak skamieniałe i spiżowej twardości. Otóż dwie pary lisów, mając wygodne i oddawna zamieszkałe jamy, takowe porzuciły i wywiodły młode w leżących lipach. Znaleźliśmy lat temu kilkanaście, młode lisy w stosie kamieni. Niechże badacz tu odkryje przyczyny tych wyjątkowych lęgów, które się częściej zdarzają, jak mniemamy, nie są bowiem łatwe do odkrycia. Przez wiele lat obchodząc lisie jamy notowałem sobie pozostałości po lisach i niektóre w zdumienie wprowadzały. Przed jamą z sześciorgiem lisiąt, znaleziono głowę starej sarny, dwa udźce młodych, postrzelonego psa, tchórza i dwie swojskie kury. W innym nienaruszone dwoje gąsiąt, znaczną ilość turzycy z zajęcy, którą w większej części już był wiatr rozniósł, nareszcie przy jednej tyle pierza, wyłącznie z kuropatw, że można było niem poduszeczkę wypchać, a nigdy nie zastałem przy jamie myszy, widocznie są przysmaczkiem i za małe do karmienia progenitury. Krety, szczury, koszatki, wiewiórki, susły i chomiki, a nawet drozdy, kosy i szpaki znoszą przed jamę.

Ile para lisów może wyrządzić szkody, niech posłuży przykład. Puściłem do małego krzaczystego lasu, otoczonego łanami, dziesięć par przezimowanych kuropatw. Polując na słonki, ustawicznie widziałem dobrane parki miłośne cierkotanie, a później często pojedyńcze ptaki, oczywiście samice posiadały na jajach. Jakież było moje bolesne zadziwienie pod jesień, gdy z tych wszystkich par wychowało się jedno stado i pozostało wiele pojedyńczych ptaków, które się później w stado zbiły. Widocznie lisy łowiły kuropatwy twardo siedzące na jajach, później zaś wyłapywały pisklęta. Pozostałości pierza udowodniły możność stracenia zwierzostanu przez jedną parę lisów. Łatwość odszukania pokarmu powoduje lisy do wyjątkowych zwyczajów, niekiedy nie do uwierzenia. I tak przy polach obfitujących w kuropatwy i zające, była ścianka okryta staropniowymi dębami, między którymi wielka część była żyjącymi trupami. Dają mi znać, że wśród korzeni w spróchniałym dębie jest czworo młodych lisów. Nie chcę wierzyć, lecz idę do dęba, dąb nie wielkiej obszerności, a zatem bynajmniej nie odwieczny, spróchniały między korzeniami, miał otwor omszony, przed otworem bujnie rosły pokrzywy i rzeczywiście tam liszka urodziła lisiątka. Jakiej to ostrożności i skrytego życia potrzeba było, aby się nie zdradzić ze swoją rodziną, podziwiałem ten mech nieotarty i pokrzywy nie nagięte. Wprawdzie pole było dosyć otwarte i za dębami kryjówki nie odpowiednie, lisy musiały widzieć, wietrzyć i przeczuwać, gdyż ani ojciec ani matka się nie

pojawiły i byłyby zagłodziły lisy. Tu się okazało, że zmysł konserwacyi silniejszy, jak przywiązanie do dzieci.

Kilka zdarzeń w mem życiu dowodzi rozumowania, pamięci, przezorności i ostrożności lisów. Otóż niekiedy niepewny gorączkowy strzał nieuszkodził młodych i te się do jamy schowały, drugiego lub trzeciego dnia rodzice wyprowadzają dzieci, często po za granice obszernego rewiru i tychże odszukać nie można. To znowu strzelam, rodzice w mordeczkach przenoszą młode z jamy do jamy lub w dalekie strony, zupełnie jak to czynią wilczyce i suki. I tu jak w każdym gatunku są osobniki niepospolitych zdolności umysłowych, inne zaś ograniczone do idiotyzmu. Przypominam sobie wiele rodzin do szczętu przy jamach wystrzelanych, a nie przenoszących dzieci, niekiedy przez dwa tygodnie odbywaliśmy zasiadki, ubijaliśmy po lisie, a drugiego wieczora wyłaziły z jamy lisy w tem samem miejscu. Gdy mączny puch śnieżny spadnie na stopę wysokości i zając się w nim zakopuje, wtedy badając zręby, przekonać się łatwo o olbrzymich spustoszeniach, zrządzonych przez lisy, nie tylko że łowi i rozdziera, lecz kaleczy i na podobieństwo wilka w owczarni, dusi w jakiejś wściekłości zające. Zdawałoby się, że wykombinował i obrachował dokładnie, którym śladem zając do lasu wracać będzie i na nim siądzie lub przywaruje, a z pewnością głodny nie pójdzie. Czy to z żoną, czy zręcznym kolegą, tego dociec nie mogłem, lecz zawierają współkę do łowienia zwierzyny, zupełnie jak to w naszym wieku czynią banki na łatwowiernych akcyonaryuszów. Jeden lis nagania, drugi zaskakuje, lub czeka warując na pędzonego z pola zająca, w gąszczach często jeden goni, drugi czeka na stanowisku. Jeszcze trzeba tu wspomnieć, że lis smakosz i lubi zjadać jajecznicę po złowieniu lub odpędzeniu matki, więc w kaczkach i kuropatwach znaczne szkody wyrządza.

Po tych kilku tu naszkicowanych rysach, mam nadzieję, że nasi ustawodawcy porzucą lisomanię, sprawią sobie futro z innych zwierząt i wydadzą list gończy na ród lisi, aby w każdej porze ten wróg zwierzyny tępionym był. Strzelba i polowanie nie wystarcza na przebiegłe i płodne zwierzęta, wypada jamnikami wypędzać stare lisy, młode wywlekać, łowić na żelaza, na zasiadkach ubijać, przy ścierwie strzelać, a gdy się pojawi rok z migracyami, truć je orzeszkami. Wiem ja dobrze i czuję silnie, że knieja bez lisa traci swój urok, że obraz nie będzie ubarwiony, nasza gorączkowa chciwość ostygnie i w głębi wzdychać będziemy za widokiem tej zawsze oczekiwanej z upragnieniem kity, wszakże gdy pragniemy rozmnożyć sarny, zające i kuropatwy, musimy wytępić lisy.

Ustęp z gawędy p. t. „W borze i klasztorze“*)

przez

Symplicyusza Gawina.

Poczciwe księżyska,
Choć u mnie mieszek grosiwem nie brzęczał,
Do samej wiosny — bom jeszcze kawęczał —
Codzień się wloką do mnie przez lasiska.
Wdzięczny powziąłem wtedy *votum* szczere,
Że się w zakonną sukienkę ubierę.
Toż w owym roku, gdym pozbierał zboże,
Połowę dałem pomiędzy biedactwo,
Co je Bóg żywi jako biedne ptactwo,
Resztę dobytku dostał klasztor w borze.
Całe me mienie — ot chudopacholskie
Poszło na chwałę Boską: wózek, konie
Woziły kwestę lub chodziły w bronie.
Na ornat poszły lite pasy polskie,
Kordelas, flintę, szable, pistolety
Schował kanafarz. Gotówkę z kalety,
A było tego złotych ze czterysta
Do mniszej kasy. Bo już prawda czysta:
„Nagim się rodzisz, nagim idź w mogiłę!“
Co mi po mieniu, gdy umrę dla świata?
Wszystkom postradał, co mi było miłe,
Niechaj więc idzie na cześć Stwórcy świata!
— Co począć z psami? Troskam się, mózg suszę,
Gwardyan ich pewnie nie przyjmie — i kwita.
Biedne psy moje! Żal mi szarpał duszę.
Kto z słów tych szydzi, niech łowca zapyta,
Jako się rozstać z psem, co służył wiernie?
Wiem ja, co bole, bom chodził przez ciernie,
Alem po pieskach płakał jak niewiasta,
Bo jak się rozstać z tem, co w serce wrasta,
Takąć to wadę mają samotniki.
A dziwne miały te psiska praktyki,
Więc je miłuję i chronię i pieszczę
Za taką wierność i dowodność w kniei.
Latem oboje nocują na dworzu,
A zimą w mrozy lub jesienne deszcze
Na skórze dziczej śpią przy mojem łożu
A instynkt, rozum ich był iście człeczy.
Nie wypuszczając mnie snać z swojej pieczy,
Jakoby stróże czujne po kolei
Jedną noc Szumlas, wtórej nocy Dzwonka
Czy w mróz lub słotę, do białego dzionka
U progu leżąc strzegą mnie stróżliwie,
To raz na dworze, to w izbie na straży.
A gdy już który zawarczy, zaszczecze,
Ja się nie zbudzę, lub to ich narzecze
Nie rozumiejąc, na dwór nie wybieżę,
To już izdebny brzechnie hałaśliwie,
I trąbą swoją muska mnie po twarzy
Lub pościel targa budząc — mądre zwierzę.
— Coż czynić z psami, raczej z przyjacioły?
Chyba dać komu. — Miałem ja sąsiada,

*) Nie mogąc z powodu wielkich rozmiarów umieścić w „Łowcu“ tej gawędy w całości, dajemy jej ustęp, z którego łatwo osądzi czytelnik całą gawędę, istotnie formą i treścią nader pociągającą. Wkrótce ogłosi ją „Ognisko domowe“.

A był to właśnie myśliwy nielada,
Mieszkał w „majdanku“. Jak ja, niewesoły
Dogryzał żywot. Niegdyś Podstarości
Uzbierał tyle, że mógł stare kości
W własnym futorku dać na spoczywanie.
Razem się bawim łowami, znał gończe
Jako dowodne, a miał też chrap na nie.
Idę na majdan, proszę pana Bończę,
Był tego herbu, a więc *bene natus*,
Ano i kęsem też *possesionatus*.
Co z sobą robię nie mówiąc mu wcale,
Po cóż na próżno wywodzić swe żale!
Rzeknę: „Sąsiedzie porzucam te strony,
Weźcie w przechowek skarb nieoceniony,
Psów moich sworę. Nie wiem, jak się złoży
Ta podróż moja, boć to w ręce Bożej.
Nie spuśćcież, proszę, ich z bacznego oka,
Jeśli nie wrócę około półroka,
Psy będą wasze, lecz gdy do tej pory
Przez umyślnego pismem, osobiście
Po ten depozyt zgłoszę się, abyście
Mi go zwrócili. Jabym tej psów swory
W innych warunkach nie dał i królowi“.
    Wielce radośny pan Bończa odpowie;
„Wiem, wiem sąsiedzie, co za skarb te pieski.
Czyliż ich nie znam? Niech mnie Pan Niebieski
Skarze na zdrowiu, zacny panie Janie,
Gdybym psy wasze, wzięte w przechowanie,
Jak długom żywy, nie zwrócił wam wiernie.
Jedźcie w spokoju, żal mi was niezmiernie,
Tracę ja *socium* dobra *et doloris*,
Z kim zapoluję *in gais et boris?*“ —
A gdy to mówił, łza mu w oczach świeci,
I mnie żal objął, był towarzysz miły,
Jakby pokrewny ze mną przez złe losy,
Jak ja samotnik złożył do mogiły
Co miał najdroższe — bo żonę i dzieci,
Toż mu przed czasem pobielały włosy.
Rzeknę ja: „Bończo widzi pan Bóg w niebie,
Azaż rozłąka i mnie wielce smuci,
Lecz wedle gadki: gdzie kto był szczęśliwy,
Niechaj w te miejsca znów po pokój wróci!
Kiedy tam pójdę, nie wiem dnia na pewne,
Vale amice, nim w podróż wyruszę
Jeszcze tu będę.
                Roztajałem duszą,
Aż się uczucia zbudziły w niej rzewne.
Wróciłem gąszczem ścieżynką do chaty,
Com ją wydeptał własną stopą z laty.
Ileż to wspomnień! Jak duchy powiewne
Błądzą śród cieni, a co krok to inne.
Bory te, jakby litewskie, rodzinne,
Głuche, zapadłe, dalekie od świata,
Przeto mnie miłe! Tam myśl ma ulata.
Tam życie biegło, jak w ruczaju woda,
Szkoda tych kniei i przeszłości szkoda!
Było w ostępach zwierzyny bez miary,
Ilem jej ubił z moimi ogary,
To już nie zliczyć. Ej knieje, ostępy,
Jak was pamięta starca umysł tępy!
Ale nie w porę ten serdeczny lament.
Mienie rozdzielił ustny mój testament,
Pieski przechowa sąsiad Podstarości,
Więc czas już pono iść mi do wieczności,
Czy do klasztora, boć to przecie jedno,
Tu i tam czeka spokój duszę biedną!
Wkrótce psy wiodę Bończy na majdanek,
Udaję radość, choć żal serce ściska.
Sąsiad mnie wita wstępując na ganek.
Rychło go żegnam mówiąc, że nie bliska
Droga do miejsc tych, gdzie dziś ruszyć muszę,
A był to pretekst, by skrócić katusze,
Przykre, bolesne, przy każdem żegnaniu,
Często na wieki. Wskazując mu psiska
Mówię: „Przywykną, gdy na uwiązaniu
Tydzień wytrzymasz, a karać nie radzę.
Idźcież już pieski“. Grzbiety im pogładzę,
A one w oczy tak mi patrzą smutnie,
Jakby błagały, żal mi ich okrutnie.
Ano z podwórka pomknę w las jak strzała. —
Lecz jeszcze jeden mam akt do spełnienia,
Jeszcze mi inna chudoba została,
Którą mi równie będzie żal porzucić.
Miałem zwierzyniec, lecz bez ogrodzenia.
Prócz wilka, com go złowił był w klasztorze,
Reszta zwierzyny wolna, biega w borze,
Po polach, łąkach, by do domu wrócić,
Gdy ją zawołam, lub z własnej ochoty.
Miałem sarn kilka, łasicę bieluchną,
Kunę z natury złą, dla mnie miluchną,
W łożu spi ze mną, nosząc nazwę „Złotej“.
Srokę przemądrą lecz wielką złośnicę,
Ciągle się wadzi, dwie synogarlice,
Lisa, co pozbył swej chytrej natury
Nie czyniąc szkody, były dwa przepióry,
Co jak kurczaki bieżą na wołanie,
Królików mnóstwo, i kuropatw parka
Tak przyswojona — a to rzecz nie łatwa —
Że całe lato w polach się pieleszy,
A w późną jesień, gdy podrośnie dziatwa,
Porzuca młódki, i gdy spadną śniegi,
Do ciepłej izby na zimowlę spieszy.
Słowem mój futor jak Noego arka
Przeróżnych stworzeń był pełen po brzegi.
A w przyswajaniu sposób wiele znaczy,
Z tem tak postępuj, z tem znowu inaczej,
Bo co gatunek, to natura różna,
Te głód oswaja, te głodzić nie można.
Kuna najlżejszej kary już nie zniesie,
Ma wielki ambit, choć zrodzona w lesie,
A kto tak czyni, to daremna praca.
A jak to licho czasem nudy skraca.
W on czas myśliwych, zwany „ogórkowy“,
Gdy się nie godzi wyruszać na łowy,
Co wtedy począć z czasem, co przydługi?
Wołam skrzydlate, czworonożne sługi,
Jak ongi w puszczy mnich Franciszek święty,
Co rad przebywał pomiędzy zwierzęty.
Gdy głos usłyszy, każde szparko ruszy,
Chyba że które gdzieś się zawieruszy,
Więc mnie nie słyszy. Ja na przyzbie siadam,
Owo pogładzę, do tego zagadam,
Przecz mnie lud prosty, a nawet herbowi
„Niesamowitym“ zwali czarownikiem,

Co duszę swoją zaprzedał czartowi,
Więc się rozumie ze stworzeniem dzikiem,
Które mu z świata różne wieści znasza.
„Na złe języki nie dobądź pałasza!“

Zwołam zwierzęta, wnet się przy mnie zbierą,
Powiem ja do nich: *ego vos libero*,
Idźcie, gdzie chcecie, niech was Bóg ma w pieczy!
. . . .

GEOGRAFIA ŁOWIECKA

PRZEZ

Dra J. Foichtingera.

Strefy łowieckie.

(Ciąg dalszy.)

Szczyty gór dosięgają 18 do 21.000 stóp, kratery wulkanów przebijają skorupę lodowców. Aż do kresu śniegów żyje lama, zastępująca miejsce afrykańskiego wielbłąda, która już dawnym Peruańczykom służyła pod ciężary i dawała mięso i wełnę. Tu jest ojczyzna kondora, największego drapieżnika całej ziemi. U tych skalistych ścian, rozlegają się ku wschodowi ogromne niziny przerznięte olbrzymiemi strumieniami. Arktyczne jeziora, łożysko rzeki Missisipi z jeziorami Michigan, Huron, Erie, Ontario, Oberen, z wodospadem Niagary i szerokiemi trawiskami prerii; doliny Orinoko z bezdrzewnymi stepami Lianów; łożysko Amazonki albo Maranon, największej rzeki na ziemi, której brzegi otoczone są puszczą leśną Selwów; rozległe trawiska i puszcze Pampas u stóp Rio de la Plata, — wszystko to tworzy rozliczne i różnorodne okazy zwierząt, które dają wszelkim odcieniom myśliwskich zabiegów wyborną sposobność do działania. Być myśliwym w Ameryce, trudne zadanie. Trzeba przez dnie i tygodnie siedzieć w siodle, przepływać rwące strumienie, przebywać mozolnie wyżyny, noce przepędzać pod niebem pośród ryku drapieżnych zwierząt, pod grozą niespodzianej napaści wrogów w czerwonoskórych. Wieje jakiś demokratyczny, ku pożytkowi skierowany duch przez cały kontynent, a odpowiada też jemu amerykańskie myśliwstwo, nie tyle jako przyjemność, lecz raczej interes. Nie rozrywka, nie pragnienie wolnego, szlachetnego ćwiczenia męzkiej siły, jest jego podstawą, ale bardziej uganianie za zyskiem wytworzyło myśliwstwo, i dziś jeszcze działa przeważnie w celu jego utrzymania. Bogate doświadczenie i tyle podziwiana dzielność amerykańskich myśliwych wyrobiły się na zwierzętach okrytych cennem futrem, na które polowali już indianie dla zysku w czasie odkrycia Ameryki. Niedźwiedź, bawół, lis, ryś, nawet krajowiec czerwonoskóry byli mistrzami myśliwych, toż znaczna część ich duchowych jakoteż fizycznych przymiotów przeszła na nich. Straszliwe walki staczane z indianami, niedźwiedziami, bawołami i bizonami, musiały wytworzyć ród myśliwych, których żadne wysilenie, żadne niebezpieczeństwo nie odstrasza. Pojedynczo, śród zimy przebieganie zaśnieżonych puszcz północy, w celu pozyskania futer niedźwiedzi, bawołów, lisów, rysiów, kun, bobrów, nie sprawia im większego wytężenia, jak europejskiemu myśliwemu swobodne buszowanie w lesie. Niektóre szczegóły amerykańskich łowów niech służą jako objaśnienie powyższego obrazu.

Polowanie na niedźwiedzie jest najważniejsze w północnej Ameryce, byt Indianów głównie polega na niem. Przed wyruszeniem poszczą ściśle przez ośm dni, przyczem spiewają nieustannie. Wzywają duchów leśnych, aby im wskazały legowiska niedźwiedzi, udzielają sobie nawzajem snów i wykładają je, robią sobie zacięcia w różnych częściach ciała. Skoro się już umówili, gdzie mają niedźwiedzi szukać, zastawia naczelnik myśliwstwa sutą ucztę. Przy niej wywołują cienie ubitych niedźwiedzi na poprzednich łowach, aby ich wspierały, i pobudzają je do nienawiści dla żyjących współbraci. Wreszcie wyruszają, obmalowani czarno, opatrzeni w broń bojowniczą. Nie powstrzymują ich ani rzeki ani bagna, wszystkie zwierzęta wypłaszają przed sobą. Przybywszy na miejsce wskazane badają każde drzewo dziuplaste, w których najczęściej niedźwiedzie się kryją. Gdy niedźwiedź zabity, zapala myśliwy fajkę, puszcza dym martwemu zwierzęciu w oczy i prosi, by nie miało żalu do niego. Nie otrzymawszy odpowiedzi odcina mu kawałek języka i wtyka go do zapalonej fajki, gdy w niej skwirczy, to jest to dobrym znakiem, w przeciwnym razie niedźwiedź się gniewa i psuje polowanie w roku następnym. Po powrocie do domu znowu zastawiają ucztę, przy której wszystko trzeba spożyć, ani odrobina nie może pozostać, żrą też do rozpęku. Nie tyle polegające na przesądnych ceremoniach, ale równie obfite w niebezpieczeństwa i przygody są łowy na niedźwiedzia białych myśliwych. Szary niedźwiedź jest najgroźniejszym, popęd jednak do myśliwstwa jest tak powszechnym, że nawet niedorośli chłopcy jemu się oddają. Dwaj chłopcy w wieku 10 i 12 lat spostrzegli w Kanadzie starą niedźwiedzicę przepływającą z piastunami przez zatokę. Wsiedli natychmiast do łodzi, dopłynęli do zwierząt, zabili jedno młode i wciągnęli je do czółna. Otrzymała też niedźwiedzica postrzał w łopatkę. Rozwścieklona przypłynęła do łodzi i usiłowała ją przewrócić. Siostra spostrzegła z brzegu grozę położenia braci, wsiadła do innego czółna i pospieszała na pomoc. Widząc to niedźwiedzica zwróciła się ku niej. Wtedy zawołali: „Nie lękaj się Sally, strzaskaliśmy jej jedną łopatkę, uderz silnie wiosłem w nos i zatrzymaj ją przy sobie, nim strzelby nabijemy“. Dzielna dziewczyna uczyniła jak przykazano i wnet strzał dobił niedźwiedzicę. Nie bez trudu wciągnęli trupa do łodzi i wylądowali w tryumfie. Wypadek ten jest podziwienia godny, bo szary niedźwiedź jest po polarnym najdzikszym ze wszystkich. Polowanie na niedźwiedzie połączone bywa w wysokiej północy, szczególnie w Kamczatce, z polowaniem na sobole i łasice. Odbywa się ono w zimie od Listopada do Stycznia, wtedy bowiem futro jest najpiękniejsze. Myśliwi tworzą towarzystwa z 30 do 40 osób, płyną w czółnach wzdłuż rzek i wiozą prowiant na trzy lub cztery miesiące. Jeden z nich

jest przewódcą. Wnet rozdzielają się na małe partye i zdala od siebie rozkładają obozowiska. Każdy z osobna wybiera sobie miejsce, gdzie stawia samołówki. Jeden człowiek rozkłada takich w jednym dniu około 20. Broni palnej nie używają, bo ona psuje futro. Niedostatek, wytężenie i niebezpieczeństwo, jakiego ci ludzie przy takiem zajęciu doznają, są straszliwe. Często śnieżnice zapierają im drogę odwrotną do obozowiska, niekiedy zbłąkają się w monotonnej puszczy, śród gąszczy lasu, i padają ze znużenia i głodu. Wszędzie tu myśliwstwo rozłożyło osady. Połów wydry morskiej doprowadził rosyan przez Aleuty, aż do wybrzeża stałego lądu i wywołał ich osady. Rozszerzenie się anglików śród ogromnych przestrzeni wschodu gór skalistych jest również skutkiem jego bogactwa w zwierzęta dostarczające futer.

W ogromnych trzodach przeciąga bizon prerye. Jest to wielkie dzikie zwierzę z kiciastą grzywą. Spotkanie z nim jest groźne, jeżeli wielkie pnie nie dają myśliwemu ochrony. Łowi się często bizona w dołach, okrytych suszem i gałęziami drzew. Myśliwy stoi po drugiej stronie dołu i drażni zwierzę. Usiłuje ono rzucić się na niego i wpada w dół. Najwięcej wiadomości o bizonie zawdzięczamy Lewisowi, Clarkemu i Drowi James. Wszyscy się w tem zgadzają, że te zwierzęta daleko się szerzą i pojawiają się w niezmiernie wielkich gromadach. U wybrzeży rzeki Missuri była ich liczba tak wielką, że zaciemniały całą przestrzeń i nie można było pojedyńczej sztuki odróżnić. Raz rozłożył James obóz w miejscu, gdzie w południe mnogie tysiące tych zwierząt się pojawiały w celu pojenia się w kałużach. Ścieżki, któremi chodziły, były codzień te same, a w owych godzinach były one niezawodnie bardziej ożywione, jak najbardziej zaludnione ulice wielkich miast. Mają dosięgać wagi 2000 funtów, woń od nich idzie bardzo ostra, dziki wyraz ich oka wzmaga się z powodu kiści włosów, która nad niem zwisa. Zwierzę to robi przerażające wrażenie. Mięso jego stanowi główny zapas dobrze zaopatrzonego indyjskiego obozowiska w zimie. Indyjscy myśliwi zajęci są przeto gorliwie przez całą zimę tropieniem bizonów. Kto pierwszy je znajdzie, wraca do swoich w celu uwiadomienia ich o tem, i bywa uroczyście przyjmowany. Następują ucztowania, tańce i powszechne zamięszanie i bójki, które poważniejsi właściciele uspokajają. Sposób, jakiego przytem używają, jest prosty ale wyrazisty. Maczugą wojenną uderzają naślepo w masy bez względu na skutki stąd wynikające. Wcześnie rano wyruszają konno uzbrojeni w łuki i strzały, na czele kroczą pieszo komendanci, dzierżący w rękach maczugi wojenne. Skoro trzody bizonów się pojawią, odzywa się powszechna przemowa do koni, zaostrzająca ich dzielność, zowią się wtedy przyjaciołmi, braćmi, zanosi się do nich prośby, by się bizonów nie lękały, lecz ścigały uporczywie i wytrwale. Unikając najlżejszego szmeru zbliżają się jak najbliżej do trzody. Następnie palacz wykonuje uroczysty akt, zapala fajkę i z zwieszoną głową puszcza dym przez jakiś czas ku trzodzie. Poczem miota fajką ku niebu i ziemi i czterem częściom świata, które indianie jako wschód słońca, zachód, zimny kraj i ciepły rozróżniają. Wreszcie rozlega się okrzyk: „Onpotouga“ (pochód). Rozdzielają się w lewo i prawo w dwie gromady i otaczają trzodę. Wtedy każdy usiłuje ubić tyle bizonów, ile zdoła. Indianie są wybornymi jeźdźcami i strzelcami z łuku. W całym pędzie wysyłają strzały z taką pewnością, iż utkwią one zawsze pod łopatką. Osądzają z zupełną dokładnością głębokość utkwionej strzały, a gdy pocisk uważają jako śmiertelny, wydają okrzyk, aby innych powstrzymać od rażenia tego samego zwierzęcia. Tak się dzieje aż do chwili, w której kołczany już są wypróżnione. Wskutek atletycznej siły indianów, pocisk wypuszczonej strzały jest potężnym, przeszywa on nieraz korpus bizona i pada po drugiej stronie na ziemi. Każdy rozróżnia dokładnie swoją strzałę od cudzej, może zatem osądzić rodzaj rany zadanej. Tylko śmiertelna rana nadaje strzelcowi prawo posiadania zwierzęcia ubitego. Konie idą za każdem poruszeniem bizonów z dziwną pewnością i wytrwałością, odróżniają wybornie zwierzęta śmiertelnie ugodzone i zwracają się natychmiast z własnego popędu ku innym. Innego rodzaju polowaniem na bizony, odmiennem od wyżej opisanego indianów Omawhaw pod wielu względami, jest indianów kamiennych. U tych jeźdźcy pędzą bizony na zasadzki po za drzewami, gdzie strzelcy leżą ukryci. Przed zasadzką urządzony jest sztuczny staw. Zwierzęta wpadają w wodę i ulegają pod ciosami strzał. W środku stawu wisi na drzewie kawał mięsa bawolego i chusta różnobarwna jako dar ofiarny „dla potężnego władcy życia“. Czasem umieszczony bywa na tem drzewie człowiek, opiewający chwałę najwyższej istoty w chwili, gdy bizony się zbliżają. Zwierzęta te rącze są, a zranione niezmiernie niebezpieczne. Pewien anglik, urzędnik Towarzystwa Hudsonbay, płynął w swoim statku przez rzekę Saskatschawę. Jednego wieczora rozpiął swój namiot na brzegu i ruszył w las w celu ubicia zwierzyny. Było już ciemno, gdy spotkał się z bizonem i strzelił do niego. Postąpił naprzód, aby zobaczyć jak trafił, w tem wpada pozornie martwe już zwierzę nagle na niego. Miał tyle przytomności umysłu, iż chwycił je za włos skroniowy i za jeden róg, a ponieważ był niezwykle silnym, walczył przez chwilę, lecz wnet legł ugodzony i bezprzytomny. Towarzysze znaleźli go nurzającego się w krwi, a obok dogorywającego już potwora. Nieszczęśliwy umarł w kilka miesięcy po tym tragicznym wypadku. Bizon nadzwyczajnie jest mściwym, i nie jeden myśliwy postradawszy strzelbę, musiał przez wiele godzin, nawet dni kilka siedzieć na drzewie, strzeżony nieustannie przez groźnego przeciwnika. Odbywa się polowanie w czasie, w którym bizony są tłuste bardzo i z tego powodu mniej rącze.

Wilk i lis dają myśliwemu w północnej Ameryce nader ożywioną uciechę. Na pierwszego używają Kanadyjczycy właściwego gatunku psów nader silnych.

Łoś i kilka rodzajów jeleni przyczyniają się do urozmaicenia łowów w tych stronach. Nieustanne rozwiązywanie największych i najtrudniejszych problemów sztuki łowieckiej znużyłyby w końcu najsilniejsze nerwy, gdyby lżejże i powabniejsze łowy nie dostarczały czasem przyjemnej odmiany. Łoś żyje w północnych szerokościach nie tylko Europy, ale też Azyi i Ameryki, sięga on aż w głąb Kanady, w Azyi przez Tartaryę aż do Japanu, gdzie jest bardzo pospolitym. Ponieważ zwierzę to ma zwyczaj podczas biegu głowę naprzód wystawiać, nie może przeto baczyć na ziemię i pada często. Stąd urosło mniemanie, iż podlega on padaczce, i leczy się z niej obwąchując swoje przednie kopyta. Cenione one przeto były wielce jako środek leczniczy przeciw epilepsyi. Polowanie na łosia jest także niebezpiecznem. Myśliwi następują na łyżwach śniegowych i starają się dostać go na strzał, przyczem trzeba być ostrożnym, bo często to pozornie niewinne zwierzę odwraca się nagle i atakuje wszystko, co mu w drodze

staje. Rogami i przedniemi kopytami walczy nawet z wilkiem i niedźwiedziem. Uderzenia jego są silne i szybkie, a mają być tak potężne, że nawet małe pnie drzewne roztrzaskują. Pojedyńczego łosia można dostrzedz siedzącego jak pies. Główném zadaniem jest szybki i pewny strzał. Gdy pierwszy strzał jest chybiony, to już drugi raz strzelić nie można chyba po całkowitem unużeniu zwierzęcia, co następuje po przebiegu 20 lub 30 mil, gdy śnieg jest równy i gładki. Poluje się przeto najlepiej w południe, kiedy powierzchnia śniegu jest nieco od promieni słonecznych stopiona, miękka i śliska. Myśliwi pędzą wtedy także na swoich szerokich obręczach lekko i pewnie, łoś zaś zapada i może być łatwiej ostanowiony.

Polowanie na jelenia w Ameryce odbywa się obecnie wszędzie, gdzie europejczycy mieszkają, według modły angielskiej. Północna i południowa Ameryka posiada złaje wybornych psów. Krajowcy Kanady polują na swych rzekach i jeziorach w łodziach i używają dresowanych psów, które jelenie do wody napędzają, gdzie myśliwi do nich strzelają. Takie polowania dają w ponurej ciszy kanadyjskich lasów i jezior poetyczny i wspaniały widok. Howison opowiada w swoich *Sketches of upper Canada* o takiem polowaniu w następnych słowach: „Zboczyłem z drogi idącej przez las, nie wiedząc o tem. Nagle rozjaśnił się las promieniem światła i rozwiał ciemności nocy, która się już rozścielała. Zrazu nie umiałem sobie wytłumaczyć, skąd to światło pochodziło, ale wnet ukazała się na rzece ogromna łódź, w której znadowało się pięciu indianów, oświeconych gorejącym ogniem. Dwaj z nich trzymali pochodnie, a sfora psów znajdowała się w łodzi na boku. Słup dymu wznosił się od ogniska i otączał łódź jakoby zasłoną. Nagle wypadł z gąszczu przeciwnego brzegu jeleń i wpatrzył się w ognisko i w ludzi w wspaniałej postawie zadziwienia. W tejże chwili padły trzy strzały, a zwierzę legło na ziemię. Okrzyk tryumfu indianów rozległ się śród puszczy, miotali pochodniami, a kilku z nich przepłynęło z psami na przeciwną stronę. Ale jeleń był tylko zraniony, zerwał się i pomknął w las. Puszczono psy na trop, a ludzie nawoływali i pogwizdywali im. Pozostali na łodzi zdawali się być strapieni i rozgniewani i wykrzykiwali. Psy pędziły zwierzę znowu ku brzegowi, ale ono rzuciło się w całym pędzie w wodę i znikło w cieniu zatoki, nim prześladowcy jego mogli coś postanowić. Indianie powrócili do łodzi, a całe towarzystwo płynęło dalej i oświecało lasy na zgubę wszystkiego, co w nich żyło. Rodzaj ten nocnego polowania właściwym jest tylko północnym indianom. Ogień przyciąga zwierzęta. Również w Texas i w zachodnich okolicach stanów zjednoczonych ubijane bywają w nocy jelenie, przywabione ogniem. Dzieje się to w ciemnej nocy, myśliwy niesie naczynie, w którem się zapalone gałęzie znajdują, na tyce zawieszonej na lewem ramieniu. Od czasu do czasu chwieje naczyniem w tył i naprzód. Jeżeli jest jeleń w lesie, to patrzy ciekawie w ogień i zdradza bytność swoją błyszczącemi oczami.

Charakterystycznem jest ptactwo północnej Ameryki, a wielce szkodliwym dla plonów gołąb wędrowny. Tworzy on nieraz chmary milowej rozległości. Masa ta zaciemnia światło dzienne, a w wyższej Kanadzie pada ich nieraz 20 — 30 od jednego strzału. Czasem niszczą w krótkim czasie przestrzenie 50 mil długości. Wilson widział w Ohio pasmo tego ptactwa, rozciągające się na przeszło milę szerokości, przelatujące nad jego głową z niesłychaną szybkością. Przelot trwał cztery godziny. Długość tego pasma wynosiła przeto około 240 mil, a obejmowało ono przeszło 2200 milionów okazów. Polowanie na tego gołębia odbywa się w następny sposób. Na przygotowanym w tym celu terenie ukrywa się wielką przestrzeń zajmująca sieć. W około niej leżą, równie ukryci strzelcy. Oswojone, umyślnie na ten cel układane gołębie umieszcza się na polach u brzegów terenu, które ściągają na siebie uwagę nadciągającej chmary i powodują częściowe zapadanie. Wtedy sieć się zamyka i poczynają się łowy.

W ogólności stanowi wysokość kukurudzy i gęstość gryki wielką przeszkodę w strzelaniu do ptactwa w północnej Ameryce. Bażantów wcale tu niema, a kuropatw mało. Właściwa amerykańska kuropatwa poczyna się z początkiem Września gromadzić nad rzekami, a pora myśliwska na nie trwa od 1. Października do 1. Stycznia. Strzelanie do bekasów dostarcza w Ameryce pełnej przyjemności bez uszczerbku dla zdrowia. Myśliwy stoi ciągle przygotowany do strzału w łodzi, kierowanej według jego wskazówek. Wypłoszone ptaki wzlatują w odległości, dającej pewność strzału. Tak bije się nieraz 80 sztuk w przeciągu kilku godzin.

Preriowa kura *(Tetra cupido Lin.)* jest w Stanach zjednoczonych częstym przedmiotem polowań. Z brzaskiem dnia gromadzą się samce w pewnych miejscach i wyzywająco kroczą w koło. Nagle poczynają śród wrzasku atakować się nawzajem. Wrzawę tę słyszeć można nieraz z odległości trzech do czterech mil, a amerykańscy myśliwi korzystają z niego w zgubny dla tego ptactwa sposób. Przy takiem wiadomem już miejscu kładzie się w zasadzce myśliwy przed brzaskiem dnia, wyczekuje owej tłumnej walki, strzela i ubija zwykle pół tuzina na jeden strzał. Koguty tak są zaciekłe, że dozwalają strzelić po raz drugi i trzeci.

Na dzikiego jendora polują Indianie z psami, które go wprawdzie nie dościgają, bo jest on tyle szybkim w pędzie, ile ciężkim w locie, ponieważ jednak nie jest wytrwałym, chroni się na drzewo, gdzie widzi dla siebie zupełne bezpieczeństwo. Nieraz dzieje się tak z całemi ich gromadami, a wtedy strąca się je po prostu drągami z drzew. Nader są płochliwymi, więc słysząc ladajaki szmer kryją się w wysokich trawach, ale nie czując się zupełnie bezpiecznymi, podnoszą co chwila głowę w górę i dają tem sposobność do strzału.

Tropikalna Ameryka posiada jaguara i pumę, słaby odcień azyatyckiego tygrysa i afrykańskiego lwa, podczas gdy unza *(ozelot)* zastępuje panterę i lamparta. Puma jest na wolności nader dzikim, ale więziony daje się łatwo ułaskawić. Poluje się na niego nie tylko ze strzelbą, ale też z lassem. Pewien angielski myśliwy opowiada: Gdyśmy pewnego dnia gasili pragnienie u wody, zjawił się nagle z gąszczy puma. Skoczyliśmy szybko ku naszym koniom, puma zaś pomknął dalej. Jeden z gauchów doścignął go i chwycił lassem. Nim się zwierzę opamiętało, już tylne nogi jego były także zadzierzgnięte, poczem je zakneblowano. Po chwili broczył się nóż myśliwego w ciele zwierzęcia. Gauchowie piekli jego mięso przy ognisku, było ono białe jak cielęce, a miało nieco smaku ryby, lepsze jednak, jak świeże wołowe. Gauchowie uważają mięso pumy za wytworne jedzenie.

Peccari, dzika świnia południowej ameryki, żyje w licznych trzodach i rzuca się podczas polowania roz-

paczliwie na myśliwego. Poszukiwaną bywa bardzo dla swego mięsa i strzelaną z zasadzki, albo też ściganą i ubijaną oszczepem. Czasem sama atakuje i wtedy staje się dla człowieka, konia i psa nader groźną.

Tapir reprezentuje hypopotama starożytnego świata. Poluje się na niego tak jak na tamtego. Organizacya ciała olbrzymich zwierząt poruszyła pod każdą szerokością równy zmysł wynalazczy człowieka w celu ich ubijania, jakkolwiek różnorodne są właściwości ziemi i klimatu, w których zwierzę się pojawia. Nawet stopień oświaty myśliwego ustępuje wobec zoologicznego znaczenia zwierzęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O stanie stosunków rybackich i prawnych w Galicyi

PRZEZ

Dra M. Nowickiego.

(Dokończenie.)

II. Co do wykonywania rybołowstwa: Wszystkie płynące wody kraju koronnego podzielić na rewiry, te wydzierżawiać na lat 12, a czynsz dzierżawny dzielić między uprawnionych.

Znakomici prawnicy Dr. Schwach i Dr. Willner, układając zasady uregulowania rybołowstwa z projektów ustaw przez Rząd przygotowanych, zapomnieli o niefortunnym w Galicyi (z wyjątkiem w dobrach Arcyksięcia Albrechta) podziale gmin katastralnych na obszary dworskie i gminy, dlatego jako delegowany z Galicyi wniosłem, pospołu z p. J. Sieglerem de Eberswald, poprawkę do punktu I. 2, 3, ażeby ustawa uwzględniła w Galicyi prócz gmin także i obszary dworskie, na co też wiec, uznając ten w Galicyi istniejący stan prawny, jednomyślnie się zgodził. Za właścicielami gruntów nadbrzeżnych nikt z wiecu nie oświadczył się. Adwokat z Sanoka Dr. M. Iskrzycki, był przeciwny zasadzie wyłączności, a przemawiał za zasadą koncesyonowania rybołowstwa; nie godził się też na przymusowe wydzierżawianie rewirów. Protokoły z posiedzeń tego wiecu i jego uchwały są ogłoszone w *„Mittheilungen des oesterr. Fischer-Vereins“* Nr. 6 z 1882 r.

7. Krajowa ustawa ku ochronie ryb z 1882 r. przepisuje tylko oszczędzanie ryb, a zgoła nie tyka uprawnień do rybołowstwa.

8. Wiec rybacki w Dreznie, który się odbył w Listopadzie 1883 r., obradował tylko nad ulepszeniem stanu rybnego różnych dorzeczy, między temi nad rozmnożeniem łososia w Wiśle, w którym względzie byłem referentem z Galicyi dla Wisły górnej, zaś tajny radca p. Herwig z Niemiec dla Wisły dolnej. W prawa rybołowstwa wiec nie wchodził. Protokoły z posiedzeń tego wiecu są ogłoszone w *„Circular Nr. 5 des deutschen Fischerei-Vereins“* z 1883 r. Streszczenie obrad i uchwał ogłosiłem w *„Mittheilungen des oesterr. Fischerei-Vereines“* Nr. 11 z 1883 r. str. 207. „Czas“ Nr. 284 i 285 z 1883 r.; *Dresdner-Journal* Nr. 271 do 273 z 1883 r.

9. Rząd przedłożył Radzie państwa w Wiedniu na 263 posiedzeniu d. 8. Lutego 1883 r. nowy projekt państwowej ustawy rybackiej, który nie uwzględnił uchwał wiecu wiedeńskiego z 1882 roku, wskutek czego Tow. ryb. w Wiedniu czuło się spowodowanem wnieść podanie do Rady państwa z prośbą o utrzymanie tych uchwał *(Mittheilungen des oesterr. Fischerei-Vereines* Nr. 9 z 1883 r.). Komisya parlamentarna, powołana do ocenienia projektu i uczynienia dotyczących wniosków, na posiedzeniu pełnej Rady państwa w sprawozdaniu swojem z dnia 21 Marca 1884 Nr. 885 wniosła: 1) nad tym projektem przejść do porządku dziennego, 2) wezwać c. k. Rząd, aby opierając się na zebranych materyałach, jak najspieszniej przedłożył Sejmom projekt odnośnej ustawy do konstytucyjnego załatwienia. Wskutek tego c. k. Rząd na posiedzeniu 364 z d. 2 Maja 1884 r., na podstawie najwyższego upoważnienia, cofnął ten projekt. Tak sprawa uregulowania rybołowstwa poszła znowu przez podniesienie kompetencyi Sejmów w odwłokę, formie poświęcono istotę. Czy na tem rybactwo i kraj biorący na się odjum dobrze wyjdą, czy uregulowanie rybołowstwa przez Sejm nie wznieci podobnej niechęci i niezadowolenia, jak ustawa myśliwska, wskutek czego u nas myślą już prosić Radę państwa o zmianę tej ustawy, przyszłość okaże. Projekt rządowy stanowił: §. 3. Wolne rybołowstwo, dozwolone §. 382 ustawy cywilnej, znosi się. Prawo rybołowstwa na przestrzeniach lub powierzchniach wód, na których każdy mógł wolno ryby łowić, przysłuża nadal 1) na sztucznych zbiornikach lub przekopach, ich właścicielom, 2) na naturalnych wodach, krajowi wśród jego granic. §. 6 i kilka następnych orzekały o podziale wód na rewiry rybackie, wydzierżawianiu takowych i podziale czynszu między uprawnionych.

10. Międzynarodowy kongres rybacki w Wiedniu, który się odbył pod protektoratem Następcy tronu Arcyksięcia Rudolfa d. 29 Września 1884 r., obradował tylko nad pytaniem, jakich sposobów Austrya i sąsiednie państwa mają wspólnie użyć ku podniesieniu rybactwa na dorzeczach wspólnych; jako delegowany z Galicyi referowałem o Wiśle, Styrze, Dniestrze i Prucie. Prawem rybołowstwa wiec się wprost nie zajmował, lecz zaznaczył tylko potrzebę uregulowania go przez wzgląd na wody wspólne i graniczne, które wymagają układów między odnośnymi krajami i państwami. Protokoły z posiedzeń tego wiecu są ogłoszone w *„Mittheilungen des oesterr. Fischerei-Vereines“* Nr. 15 z r. 1884 i Nr. 16 z r. 1885.

11. Na mocy Najwyższego postanowienia z dnia 31 Grudnia 1884 r., Rząd przedłożył Radzie państwa nowy projekt państwowej ustawy rybackiej już tylko o 10 §§. ogólno zasadniczych, opuszczając w nim zresztą wszystko, coby kompetencyi sądów dotyczyć mogło. §. 1 stanowi: Wolne rybołowstwo, dozwolone §. 382 ustawy cywilnej, znosi się. Prawo rybołowstwa na przestrzeniach lub powierzchniach wód, na których dotąd każdy mógł łowić ryby, przysłuża nadal: 1) na sztucznych zbiornikach

lub przekopach, ich właścicielom, 2) na wodach naturalnych tym, którym je **nada ustawodawstwo krajowe**. §. 2 bierze w opiekę rybaków, którzy na wodach z wolnem rybołowstwam oddawali się temuż sposobem zarobkowania. §. 3 dotyczący podziału czynszu między uprawnionych za wydzierżawiane rewiry rybackie, jakoteż reszta paragrafów odnosi się do postępowania władz i stosunku praw rybołowstwa do innych praw. Tak więc ustawa ta projektuje tylko zniesienie wolnego rybołowstwa, a resztę pozostawia ustawodawstwom krajowym.

O uchwalenie tej ustawy przez Radę państwa jeszcze tej kadencyi, wnoszą do tejże obecnie zewsząd z Austryi petycye, aby po długich latach zabiegów raz przecież wyjść z koła błędnego i rybactwo w Austryi dźwignąć. Referentem Komisyi parlamentarnej jest poseł Dr. M. Zatorski, profesor prawa w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, sprawa więc spoczywa w dobrych rękach. Od Koła polskiego zależy teraz, czy przedłożona ustawa państwowa, licząca się z kompetencyą Sejmów, zostanie uchwaloną, czy też znowu zwaloną, wskutek czego ważna dla Galicyi sprawa uporządkowania rybołowstwa musiałaby znowu pójść w odwłokę. Miejmy nadzieję, że Koło polskie, uwzględniając dobro kreju, który reprezentuje, oraz słuszne życzenia innych krajów koronnych, przyczyni się do uchwalenia pożądanej i długie lata oczekiwanej ustawy. Towarzystwo rybackie w Krakowie przedłożyło Kołu polskiemu dotyczącą prośbę

d) Ograniczenie prawa rybołowstwa na rzekach. Zniesienie wolnego rybołowstwa na rzekach, jeśli takowe istnieje, i oddanie go komuś przez Sejm za uprawnionego uznanemu, jest niezawodnie pożądanem i potrzebnem, wszakże przez to nie wszystkiegoby się jeszcze dopięło. Owszem, względy ekonomiczne nakazują uszczuplić dzisiejszą za wielką liczbę rybaków, podobnie jak to mądrze uczyniła ustawa myśliwska z myśliwymi. W tym celu należy złożyć z wód bieżących i przynależnych rzeczysk odpowiednie rewiry rybackie, te wydzierżawiać, a czynsz dzierżawny między dotyczących uprawnionych dzielić.

Rewiry i spółki rybackie Rząd miał zawsze na oku, bo w okólniku z 1879 r. i w projektach państwowej ustawy z 1874, 1883 i 1885 r. powyżej omówionych. Lwowska Komisya z 1879 r. przez Namiestnictwo zwołana, oświadczyła się za niemi. Komisya prawnicza Akademii umiejętności w Krakowie zakończyła swą rozprawę nad poruszonem przez radcę sądowego p. Louis pytaniem: komu służy prawo rybołowstwa?, trafną i jednomyślną uwagą, że samo nadanie prawa nie zdoła podźwignąć gospodarstwa rybnego. Profesor Dr. Zatorski poseł na Sejm i do Rady państwa, wykładając „O prawie rybołowstwa“ na posiedzeniu walnego zgromadzenia Towarzystwa rybackiego w Krakowie w dniu 30 Października 1880 r., zaznaczył z naciskiem, że względy ekonomiczne wymagają ścisłego ograniczenia prawa rybołowstwa (Okolnik Nr. I. Tow. ryb. z 1881 r., str. 14—16). Wreszcie w kołach samych interesentów uznają potrzebę zaprowadzenia rewirów.

Podział wód bieżących na rewiry rybackie. Ponieważ wody nasze przez podział kraju na powiaty polityczne są poszarpane i pokawałkowane, przeto nie można rewirów przystosować do powiatów. Muszą one raczej iść za poszczególnemi rzekami z ich dopływami dla gospodarstwa rybnego ważnemi. Najpraktyczniejszemi przytem, bo na naturze opartemi, byłyby rewiry według krain rybnych, które są oznaczone na mojej mapie rybnej Galicyi, kosztem hr. Artura Potockiego wydanej, a medalami z Anglii i Francyi odszczególnionej. Że wszakże, jak to z mapy tej widać, krainy rybne według różnej natury rzek zajmują przestrzenie długości mil kilku do kilkunastu, a takie rewiry byłyby za rozciągłe, aby jeden uprawniony lub dzierżawca zdołał odławiać ryby i dopilnowywać wód, przeto zachodzi potrzeba podziału wielkich rewirów na pewną liczbę drobniejszych, co kilka gmin obejmujących, ale znowu nie zbyt małych, któreby chybiały zamierzonego celu. Na płytkich wodach w górnym biegu rzek, gdzie jest mniej ryb, mogą rewiry być dłuższe, niż w biegu dolnym, gdzie woda głębsza więcej gatunków ryb zawiera. Ze względu znowu na mogące nastąpić spory między uprawnionymi i dzierżawcami, albo też członkami spółek, które się dla poszczególnych rzek z dopływami zawiążą, należy rewiry wzdłuż rzek ustanowić ile można w obrębie powiatów, przez które rzeki, wszystko jedno czy wewnątrz kraju, czy na granicy przepływają, zawsze jednak tak, aby podział czynił zadość wymogom dobrej gospodarki rybnej. Zdaniem p. Adolfa Gascha z Kaniowa, każdy dzierżawca rewiru musi mieć sobie daną możność urządzenia zupełnego rybactwa, t. j. dzierżyć tyle i takie wody, które obejmowały przestrzenie do: *a)* lęgu i *b)* odrostu narybku, *c)* połowu ryb wyrosłych. Zdaniem radcy dworu Dr. Kaj. Orleckiego podział wód na rewiry można w sposób zadawalniający uskutecznić tylko po należytem rozpatrzeniu stosunków prawnych jako też fizykalnych, i po wysłuchaniu na miejscu stron interesowanych. Zarząd Tow. ryb. w Krakowie delegując mnie w r. 1882 na wiec rybacki w Wiedniu, polecił mi do punktu 7 zasad ustawy, nad któremi obradowano, wnieść poprawkę, ażeby ustawa określiła minimalną rozciągłość rewirów, ale ta poprawka upadła *(Mittheil. d. oesterr. Fischerei-Vereines* Nr. 6. r. 1882, str. 94), jak to z góry przewidzieć można było.

e) Zupełna ustawa rybacka dla rzek śródkrajowych Galicyi. Gdy rada państwa uchwali państwową ustawę rybacką jeszcze tej kadencyi, czego się słusznie spodziewamy, natedy przyjdzie kolej na nasz Sejm, wydać krajową zupełną ustawę rybacką, orzekającą ściśle i jasno, kto i jak ma łowić ryby, oraz raka, na wodach bieżących wewnątrz kraju.

Taka ustawa jest konieczną, bo jeśli gospodarstwo stawowe utrzymuje się samo z siebie, to rybołowstwo rzeczne wymaga nieodzownie opieki prawa, dźwignięcia go przez usunięcie wrogich przyczyn, które jego ostateczny dzisiejszy upadek spowodowały.

A że wydanie w tym celu dobrej ustawy będzie dziełem nie łatwem do dokonania; że prócz tego każdy stracony rok przynosiłby dalszy uszczerbek majątkowi narodowemu, a kraj i z tem się liczyć powinien, raz, że Następca tronu Arcyksiąże Rudolf interesuje się rybactwem, powtóre że uregulowanie rybołowstwa w Galicyi i w innych krajach koronnych jest nieodzownym warunkiem do zawarcia przez Rządy międzypaństwowych układów względem dorzeczy wspólnych, przeto kompetentne czynniki naszego kraju powinneby bez straty czasu przystąpić do czynu. Nadewszystko zaś należałoby zastanowić się nad pewnemi zawiłemi pytaniami, jak n. p. co właściwie rozumieć przez wolne czyli dzikie rybołowstwo?, czy wspólne łowienie ryb przez członków gminy, albo dworów z gminami, jest wolnem rybołowstwem?, czy i na których wodach łowi u nas rzeczywiście kto chce?, dalej czy prawo rybołowstwa na takich wodach należy się dawnym dominjom?, czy też je nadać teraźniejszym obszarom dworskim i gminom jako takim?, właścicielom gruntów nadbrzeżnych?, krajowi?, czy kraj ma sobie przyznać prawo na wszystkich wodach pu-

blicznych?, lub tylko na 16 rzekach spławnych?, według jakich zasad ustanowić rewiry rybackie?, dzielić czynsz dzierżawny z nich między uprawnionych?, czy i jakie obowiązki włożyć na dzierżawców?, czy ustanowić rewiry udzielne i wspólne?, jakiemi przepisami chronić ryby?, które ujścia rzek uznać za chroniska ryb?, gdzie i jakie tarliska oszczędzać?, gdzie uprawnieni do użytkowania wody pośrednio najbardziej szkodzą rybactwu przez klauzy, jazy, spław drzewa, odwracanie całej wody z koryta, zatruwanie wód? i jak temu zaradzić?, gdzie urządzić dla ciągnących ryb przepusty od rzeki do odciętych kolan i starych rzeczysk?, wreszcie o jakie równe przepisy rybackie dla wód granicznych i wspólnych starać się u Rządu? Dopiero po rozjaśnieniu kwestyi tych i innych wynikną same z siebie wnioski mające być przedłożone Sejmowi jako materyał do wydania takiej ustawy, którąby nie wywołała burzy procesów o rybołowstwo i użytkowanie wody, a własną siłą dźwignęła stan rybny i utrzymywała go trwale w dobrym stanie.

Interesowani w rybołowstwie rzecznem są w pierwszym rzędzie powołani, zająć się sprawą i objawić publicznie lub Sejmowi swe zdania, jak ku dobru rybactwa i ku ogólnemu zadowoleniu, ustawą doprowadzić do ładu prawo i wykonywanie rybołowstwa na rzekach wewnątrz kraju, jeżeli nie chcą na sobie doznać przysłowia: „*Nolenti non fit injuria*“ albo „*Qui tacet, consentire videtur*“.

Spodziewać się też należy, że Wydział krajowy ujmie sprawę w swe możne ręce, zażąda od Rad powiatowych, obszarów dworskich i urzędów gminnych ich sądu o rzeczy, i celem przygotowania wniosków dla Sejmu powoła ankietę, o co Komitety obu Towarzystw rolniczych w Krakowie i Lwowie oraz Towarzystwo rybackie prosiły.

f) Dopełnienie ustawy regulującej rybołowstwo rzeczne.

Po wydaniu przez Sejm z Bożą pomocą zupełnej ustawy rybackiej dla rzek śródkrajowych, pozostanie jeszcze zadanie, starać się u Rządu o zrównanie przepisów rybackich dla wód granicznych, unormowanie połowu ryb na międzypaństwowych rzekach Wiśle, Styrze, Dniestrze i Prucie, i możebną zmianę części przepisów ustawy wodnej na korzyść gospodarstwa rybnego rzecznego i stawowego.

1) Rzeki graniczne, rozdzielające Galicyą od sąsiednich krajów, mianowicie od Szląska pruskiego i austryackiego, Rosyi, Węgier i Bukowiny są następujące: W dorzeczu: *a)* **Wisły**: Wisła między ujściami Białki i Przemszy, a poniżej od Niepołomic do Chwałowic; Przemsza od Mysłowic po ujcie do Wisły; Białka w całej swej długości; Rudawa z Szklarką, Prądnik, Dłubnia, małymi kawałkami; Dunajec od ujścia Białki pod Dębnem do Szczawnic, a z jego dopływów Białka od Tatr po gminę Białka i poniżej gminę Uj Bela do ujścia do Dunajca, Poprad od Leluchowa do Piwnicznej; San między Baranówką a Chałupkami, a z jego dopływów Sanna w okolicy gminy Lasek, Łukawica powyżej Rzeczycy, Bukowa między gminami Nalepy i Szwedy, Tanew w okolicy Korkosza i powyżej Dąbrowic, Bukowinka (Złota) między Jastrzębcem i Wulką łamaną, Złota rzeka między Bukowcem i Słobodą; Bug od ujścia Warczanki do Horodłowic, a jego dopływ Warczanka pod Mianowcami i przy ujściu do Bugu. *b)* **Styru**: Styr między Smarzowem i Strzemilczem, jego dopływy Sudołówka od Tetewczyc do Baryłowa, kawałek poniżej Baryłowa i przy ujściu, Słonówka od Sestratyna w dół. *c)* **Dniestru**: Dniestr od Horodnicy po ujście Zbruczu do Dniestru pod Kozaczówką; Zbrucz w całej długości aż do ujścia do Dniestru. *d)* **Prutu**: Prut mały kawałek między ujściami potoku Turecki i rzeki Czeremosz, potok Turecki czyli Kłeniówka poniżej Śniatyna, Biały i połączony Czeremosz w całej długości.

Dla tych wód granicznych miał p. Minister rolnictwa w myśl §. 9 ustawy rybackiej wydać do §§ 1, 3 i 8 osobne przepisy, co jednak dotąd nie nastąpiło. Dziwić się temu wcale nie można, bo trudna to zaiste sprawa wobec okoliczności, że nasze przepisy rybackie różnią się od przepisów na Szląsku austryackiem i pruskiem, na Spiżu i Bukowinie, a Rosya nie nie ma dotąd jeszcze żadnych dla wód granicznych, lecz tylko według ukazu z 1864 r. dla wód wewnętrznych.

Towarzystwo rybackie w Krakowie znosiło się w tym względzie z ościennymi krajami. ale bezskuteczne. Za jego przyczyną odniosły się w 1883 r. oba nasze Tow. rolnicze w Krakowie i Lwowie do p. Ministra rolnictwa z prośbą o rychłe uregulowanie rybołowstwa na rzekach nadgranicznych, uzasadniając tę prośbę nadużyciami rybaków na granicach, za które inne kraje Galicyą publicznie po gazetach oskarżają. Wskutek tego kroku p. Minister zażądał reskryptem z d. 14 Listopada 1883 r. L. 13744 od Namiestnictwa we Lwowie, a Namiestnictwo okólnikiem z d. 5 Marca 1884 r. L. 4911 od Starostów przedstawienia w tym względzie szczegółowych i należycie uzasadnionych wniosków do końca miesiąca Maja 1884 r. (Tyg. roln. Nr. 37 z 1884 r.). Co się jednak dalej stało, nie wiadomo.

W każdym razie poruszona ta sprawa jest w toku, w ślad za czem, po wydaniu przez Sejm zupełnej ustawy rybackiej dla wód płynących wewnątrz kraju, Wydział krajowy postara się o to, aby rząd wydał równe przepisy rybackie dla wód granicznych.

2) Rzekami międzypaństwowemi Galicyą obchodzącemi są Wisła, Styr (Dniepr), Dniestr i Prut (Dunaj), nastają bowiem w tym kraju koronnym Austryi (Wisła na Szląsku), a dalej płyną przez Niemcy, Rosyą i Rumunią (Prut). Unormować więc na nich rybołowstwo, zwłaszcza połów ryb wędrownych i dla Galicyi ważnych, mogą tylko Rządy tych państw zawarciem dotyczących układów pomiędzy sobą i wydaniem u siebie na tej podstawie równych przepisów rybackich, jak się to n. p. w państwach nadreńskich stało. Sejm nasz i Koło polskie mogą tylko i niezawodnie zechcą wpłynąć na c. k. Rząd austryacki, aby te układy doprowadził do skutku, co też w intencyi Następcy tronu Arcyksięcia Rudolfa, protektora rybactwa w Austryi, leży.

Potrzebę układów i równych przepisów dobitnie zaznaczyły Towarzystwa rybackie różnych krajów, między niemi i galicyjskie, także na ostatnich trzech wiecach rybackich, o których powyżej namieniono, mianowicie na wiedeńskim 1882 roku, drezdeńskim 1883 r. i międzynarodowym wiedeńskim 1884 r., o czem świadczą ogłoszone protokoły z posiedzeń każdego z tych wieców.

Za staraniem Tow. ryb. w Krakowie podjętem w Kwietniu 1881 r., Wydział krajowy udał się jak donosiły gazety, do c. k. Prezydium namiestnictwa z prośbą o przyczynienie się u władz centralnych do zawiązania układów międzypaństwowych. Wskutek tego p. Minister rolnictwa reskryptem z d. 3 Września 1882 r. zażądał od Namiestnictwa dotyczących wniosków (Okólnik Nr. III z 1883 r., str. 63); czy i co się jednak dalej stało, nie wiadomo.

Prócz tego Tow. ryb. same usiłowało torować drogę do międzynarodowej akcyi rybackiej przez to, że rozsełało druki swe oraz mapę rybną Galicyi do ościennych krajów z odnośnemi pismami, niemniej że weszło w stosunek wspólnej pracy

z obcemi Tow. rybackiemi, mianowicie niemieckiem w Berlinie, węgierskiemi w Maroth i Kezmarku, tudzież rosyjskiem w Petersburgu. Dalej zarybiało rzeki (Tyg. roln. Nr. 5 z 1884 r.) wspólnemi siłami, gdyż Niemcy i Rosya ofiarowały ikrę, a Galicya wychowywała ją i rozpuszczała narybek, już to celem polepszenia stanu rybnego, już też przesiedlenia cennych gatunków ryb do wspólnych dorzeczy, w których ich przedtem nie było, jak n. p. łososia do wód Dniestru i Prutu, węgorza do wód Prutu, Dniestru i Styru (Następca tronu Arcyksiąże Rudolf odpowiedział na wysłany do niego telegram), lipienia do wód Prutu i Wisły, amerykańskiego *Salmo quinnat* do wód Wisły (Arcyksięstwo Fryderyk i Izabella puścili pierwsze okazy do Wisły), Dniestru i Prutu, alpejskich gatunków *Salmo salvelinus* i *Trutta lacustris* do jezior tatrzańskich należących do wspólnego dorzecza Dunajca, *Salmo solvelinus* także do Prutu. Wreszcie Tow. ryb. urządzało uroczyste międzynarodowe akty rybackie, n. p. nad Wisłą, Dunajcem, Popradem, i pośredniczyło w przesiedleniu sandacza, chowu p. Aleks. Gostkowskiego, do dorzecza Renu. Za jego też wpływem powstały dwie łososiarnie nad Dunajcem w Poroninie i Waksmundzie, aby wody Wisły zarybiać jej własnym łososiem, a wiec drezdeński uznawszy ważność tych rybiarń, ofiarował sam na zakupno ikry łososia dunajcowego kwotę 400 złr., nadto uprosił od Arcyksięcia Albrechta na tenże cel drugie tyle (Tyg. roln. N. 19 z 1884 r.). Tak więc Tow. ryb. czyniło na wewnątrz i zewnątrz, co tylko było w jego mocy, aby kompetentne sfery pobudzić do uporządkowania rybołowstwa na rzekach wspolnych.

3) Zmiana ustawy wodnej. Część teraźniejszych przepisów ustawy wodnej sprzyja więcej interesom przemysłu, niż rybactwa rzecznego, to też cierpi ono przez spław drzewa, zanieczyszczanie wód odpadkami z fabryk, stawianie jazów bez przepławek rybnych, odwracanie całej wody z koryt rzecznych, brak zapór kratowych na początku i końcu młynówek i innych sztucznych przekopów, spuszczanie młynówek do czyszczenia i t. d. Uprawnieni do rybołowstwa nie mogą się temu sprzeciwiać, mają tylko prawo żądać stosownego odszkodowania, czego jednak u nas, przy domniemalnem tylko prawie gospodarstwa rybołowstwa rzecznego nikt nie czyni. Inspektorów, którzyby słusznych interesów rybactwa bronili, nie ma, pomimo że Towarzystwo rolnicze w Krakowie w r. 1883 i 1884 prosiło Ministeryum rolnictwa o ich ustanowienie. Towarzystwo rybackie pobudzało do opatrzenia klauz i jazów przepławkami rybnemi, ale nadaremnie. Względem spławu drzewa odniosły się za jego staraniem oba Tow. rolnicze w Krakowie i Lwowie w r. 1883 do p. Ministra rolnictwa z prośbą, aby interesa rybołowstwa rzecznego i uprawnionych do niego uwzględniał przy udzielaniu koncesyi na spław drzewa. Wskutek tego p. Minister rolnictwa zażądał reskryptem z d. 27 Listopada 1884 r., L. 13745 od Namiestnictwa we Lwowie, a Namiestnictwo okólnikiem z d. 5 Marca 1884 L. 4911 od Starostów przedstawienia szczegółowych uzasadnionych wniosków do końca Maja 1884 r. (Tyg. roln. Nr. 37 z 1884 r.). Co się jednak dalej stało, nie wiadomo; tymczasem spław odbywa się dawnym trybem, na co mieszkańcy nad Czeremoszem, Prutem, Bystrzycą, Świcą i t. d. bardzo się żalą. Na zeszłorocznym wiecu rybackim w Wiedniu p. Adolf Gasch z Kaniowa przedstawił skutki zatruwania granicznej rzeczki Białki odpływami z fabryk, zaś p. Aleks. Gostkowski z Tomic doznawane przeszkody w pobieraniu wody do stawów, przyczem obaj wskazali na potrzebę zmiany ustawy wodnej, czyniąc zarazem odnośne wnioski. Za staraniem znowu wiedeńskiego Towarzystwa rybackiego, Ministeryum rolnictwa w porozumieniu z Min. spraw wewnętrznych, uznając interes rybactwa w tem, aby przy regulacyi rzek zostawiano między korytem a odciętemi od niego wodami dla przeciągu ryb odpowiednie przepusty, rozporządziło i poleciło reskryptem z dnia 19 Lutego 1884, aby nadal takie przepusty miało na względzie zaraz przy projektowaniu budowli regulacyjnych, zaś przy korekcyach już przedsięwziętych o tyle uwzględnić, o ile dadzą się wykonać (Tyg. roln. Nr. 19 z 1884 r.). Pierwsze więc lody przełamane, reszty trzeba jeszcze dokonać, co przy dobrej woli uprawnionych do użytkowania wody i do rybołowstwa rzecznego, nie powinnoby być trudnem.

Po uregulowaniu przez ustawę prawa rybołowstwa i ograniczeniu go przez zaprowadzenie rewirów rybackich wydzierżawiać się mających, po wydaniu przez Rządy sąsiednich państw jednakich lub przynajmniej do siebie zbliżonych przepisów rybackich dla rzek granicznych i wspólnych, wreszcie po zmianie przepisów ustawy wodnej słusznym interesom rybactwa przeciwnych, rybołowstwo rzeczne będzie się mogło dzwignąć. Zyskają na tem uprawnieni, dzierżawcy, rybacy, handlarze, konsumenci, w ogóle kraj, bo ryb będzie znowu dosyć na potrzebę wewnętrzną, wskutek czego dowóz ryb i wysyłka znacznych za nie sum niepowrotnych za granicę zatamuje się, a nastąpi wywóz z korzyścią dla majątku narodowego, co daj Boże, aby się jak najrychlej spełniło. Przywrócenie naszym rzekom i potokom dawnej ich rybności, opłaci się zaiste sowicie krajowi. Zajmują one bowiem poważną przestrzeń 153.430 morgów, z których licząc na 1 morg tylko 15 kgr., a za 1 kgr. tylko 40 centów, można mieć co najmniej 2,300.000 kgr. wartości 920.000 złr. rocznie. Gdy się jednak zważy, że tysiące potoków karpackich zawierają pstrąga i lipienia, Wisła z dopływami łososia, a Prut głowacicę, to można biorąc żywy przykład z świetnego stanu rybnego na rzece Skawie u hr. Artura Potockiego i hr. Branickiego, którzy na wędkę w przeciągu kilku dni łowią przeszło 1000 pstrągów, bez żadnej przesady przyjąć, że przy rządnym połowie roczny dochód z samych rzek i potoków, zawierających cenne ryby łososiowate, podaną powyżej cyfrę kilkakrotnie przeniesie. Łosoś, to istne błogosławieństwo morza, będzie się zawsze trzymał w dobrej cenie, gdyż jest i będzie za nim popyt z wszystkich krajów z rzekami czarnomorskiemi, które łososia są dotąd pozbawione. A prócz czterech gatunków ryb łososiowatych, mamy jeszcze niemało innych cennych ryb równie poszukiwanych i popłatnych.

KORESPONDENCYE.

Z Ukrainy. Wasylówka.

Uiszczając się z przyrzeczenia, komunikują szczegóły trzeciego z rzędu polowania w rządowych lasach Kalinowieckiego rewiru (na Podolu), które odbyło się, jak to uprzednio ułożyliśmy, w d. 17. Grudnia z. r., niestety w czasie największego u nas bezdroża, niefortunnie też

*

nam poszło. Niepogoda i zła droga, nieszczególnie zachęcała do odbywania podróży, wielu więc myśliwym, zamieszkałym dalej od kolei, stała na przeszkodzie, i ledwo kilku nas, jak się pokazało, zdecydowało się wyruszyć na ułożoną wyprawę. Ja chcąc kolegom sprawić przyjemną niespodziankę, by zastali uporządkowaną i ogrzaną kwaterę, wyjechałem naprzód nocnym pociągiem, bacząc również na to, by zyskawszy na czasie, bodaj po błocie, otropić dziki, których racice w rozkwaszonej ziemi wydeptują widoczne ślady. Jakoż przybyłem do chutoru gajowego, na najętej podwodzie, gdy ledwo switać zaczynało. Posłałem jednego z moich myśliwych do chaty zbudzić gajowego, a sam zziębnięty siedząc na wózku, czekam aż ukaże się światełko i nie zupełnie rozczumany ze snu Tychon (nazwisko gajowego), w kożuchu na jednem ramieniu, wyjdzie z chaty na przywitanie mnie. Jakież było moje zdziwienie, gdy w miejsce Tychona zobaczyłem mojego brata, który powitał mnie słowami: „Szczęśliwy traf i ciebie bracie przyniósł tu do nas“, i oświadczył mi, że ma tu z sobą sąsiadów myśliwych i że mają dziś zapolować. Nic mi nie pozostawało na razie powiedzieć, jak tylko: „Szczęść Boże!“ Prawdziwą było dla mnie niespodzianką spotkanie się o tej porze z bratem, którego równie jak i innych kolegów myśliwych, wzywałem telegrafem i spodziewałem się zobaczyć ich nie rychlej, jak pod wieczór. Zmiarkowałem ztąd, że brat mój przed odebraniem mojego zawiadomienia, z własnej inicyatywy ze swoimi sąsiadami równocześnie ułożył polowanie. Widocznie musiałem zrobić jakiś grymas i okazać zdziwienie, które nie uszło oczu mojego brata, bo zapytał mnie: może dzisiaj jeszcze kto z was przyjedzie i macie projekt jutro zapolować? A tak, odpowiadam, telegramy rozesłałem i do ciebie również, wysłałem i spodziewam się, że dziś wieczorem niezawodnie kilku myśliwych nadjechać musi, a że i ty masz z sobą kolegów, to i owszem, więcej myśliwych — lepsza zabawa. „Nic z tego nie będzie, odpowiedział brat mój, my dzisiaj polujemy — a wy jutro, gdyż moi sąsiedzi koniecznie muszą jutro wracać do domu“. No, niech i tak będzie! mówię mu, tylko proszę was lepsze knieje zostawcie nam na jutro. Tymczasem rozwidniło się zupełnie, psy zwołują, myśliwi zabierają torby na plecy i zaczyna się wymarsz z chutoru do kniei. Sam nie wiem co z sobą zrobić, czy położyć się i po bezsennej nocy zasnąć, czy towarzyszyć myśliwym, bodaj na parę godzin? Wreszcie, nie zmieniając podróżnego stroju, jaki był właściwy do wagonu, w butynkach i lekkich kaloszykach, łączę się z myśliwymi i wyruszam do kniei. Psy moje i jednego z moich myśliwych zostawiłem, by uporządkował kwaterę, a drugiego wziąłem z sobą. Wszedłszy do lasu nie dalej jak pół wersty, puszczono psy, by cokolwiek podjęły, niespodziewaliśmy się znaleść tuż przy chutorze grubszego zwierza. Po upływie jednak kwadransa dało się słyszeć naszczekiwanie psów na jednem miejscu, nie dalej od nas jak o pół wersty, co upewniło nas, że psy zaatakowały dzika. Ruszyliśmy coprędzej na miejsce, skąd dochodziły nas głosy gończych i ujrzeliśmy wkrótce wśród grubego lasu niewielką halawę (połonę), na której krąglak zarośli znajdujący się w bagnie, nie więcej miał obszaru jak sążni sto długości i dwadzieścia przeszło szerokości, lecz z powodu deszczów, które u nas niemal codziennie przechodziły, na około tych zarośli, na sążni sześć wody było w kolano. Słyszymy brodzenie po bagnie, psy zadarłszy nosy do góry, naszczekują na około wody, a dziki, których jak się pokazało, było dziewięć, to w tę, to w ową stronę bełczą po bagnie. Zarośla tak gęste, że choć przestrzeń nie daleka, dzików dostrzedz niepodobna było. W tem widzę tabunek przesuwający się środkiem jeziora i jednocześnie słyszę łom i poruszanie się poplątanych zarośli, niezważając, żem w butynkach wskoczyłem do wody w zamiarze zabieżenia im drogi, gdy oto, nie dalej jak na kroków trzydzieści, zobaczyłem ogromnego dzika, odwróconego ode mnie zadem, wymierzam i strzelam, widocznie trafiła go kula, gdyż przysiadł, ale za dymem tak mi znikł z oczu, że nie mogłem mu drugiego strzału posłać. Opodal od nas, ale może na kroków trzysta, widzimy trzy sztuki ogromnych dzików przemykających halawą z jeziora do lasu. Uszli nam szczęśliwię, bo strzał już był niepodobny, jakoż przez minut parę, tąż samą stroną przemknęło w oczach naszych pięć warchlaków; a jeden, który się odbił od tabunu, po drugiej stronie jeziora wpadł pod nogi mojemu myśliwemu i tak go zalterował, że dwa strzały obok warchlaka wpakował w ziemię. Fiasko okrutne! Dziewięć dzików z pomiędzy siedmiu strzelców, w tak małym ostępie, uszło bezkarnie; a nam, kiedyśmy po sobie spojrzeli, fizyonomie dłuższe się wydały, lecz rady na to nie było. Staraliśmy się jeden drugiego pocieszać argumentując, że wypadki różne się ludziom przytrafiają, a szczególnie myśliwym. Odpowiadano na takie argumenta z dość kwaśną miną: „a tak, tak“.

Zamoczenie nóg niepokoić mnie zeczęło, zostawiwszy więc myśliwych w kniei, z moim strzelcem wróciłem do kwatery, gdzie zmieniwszy mokre obuwie, rzuciłem się na łóżko i nie długo marząc, zasnąłem w najlepsze. Choć polowanie chybiło, ale sen mi się udał, spałem godzin sześć prawie i ledwo zwoływanie psów i trąbka wracających myśliwych mnie przebudziły. Jak się pokazało, rezultat polowania tego dnia był żaden, strzelano jeszcze ale bez skutku. Widocznie był to dzień feralny, gdyż i polowanie nie powiodło się i zdrowie mi szwankowało. Zaczęła się dość ożywiona gawęda, każdy starał się przypomnieć lub wymyślić jakąś okoliczność i w żartobliwy sposób przypiąć koledze łatkę. Temu niby dzik kiwnął głową na podziękowanie, że strzelał tak grzecznie, iż go nie zadrasnął, na drugiego jak brwi zmarszczył, to zapewne musiał niewiedzieć, gdzie wystrzelić i t. p., a tak ilustrując się nawzajem jakoś wszystkim przybyło humoru. Gawędząc w ten sposób, oczekujemy przybycia spodziewanych kolegów, jakoż i w tym razie nie przewidywałem pomyślnej szansy przypuszczając, że z przyczyny złej drogi nie jeden będzie zmuszony odmówić sobie tej przyjemności. To też dwóch tylko zawołanych myśliwych Franciszek Potocki i Marjan Żurakowski ze strzelcami i z psiarnią, stawiło się na moje wezwanie. Niepewność oczekiwania zaspokojona, a więc dalejże opowiadać o dzisiejszem zdarzeniu z dzikami i niepowodzeniu naszem, posypały się znowu, na ten raz odgrzewane żarciki z dodaniem coraz nowych ilustracyi. Należało jednak ułożyć plan jutrzejszego polowania i naradzić się z Tychonem, gdzie i w jakiej kniei jutro zaczniemy. Rzecz szła szczególnie o to, gdzie możnaby jutro znaleźć spłoszony dzisiaj tabunek dzików. Tychon, jako miejscowy, najlepiej mógł w tem nas oświecić. Rozumując więc dość logicznie powiada: „Try dni tomu buły tut mysliwy z Kijowa, i dwa dni po sich blizkich knejach towkły sia, ubyły dwa kozły i do kabanyw strelały, a i wy sieho dnia ich napołochały, to wony piszły mabut’ na kneju

Kaminia (nazwisko kniei), tam ich kończe powynny my zastaty". Jest to jedna z dalszych kniei i trzeba do niej werst dziesięć dojeżdżać. Stanęło więc na tem, że jutrzejsze polowanie zaczniemy od kniei Kamienia. Przyrządzono nam myśliwską wieczerzę, kotlety i kluski odgrzewane zjadły się smaczniej niżeli w domu, a popiwszy je herbatką ułożyliśmy się do snu. Trąbka alarmująca zbudziła nas o piątej, zerwaliśmy się z posłania co żywo, by jeszcze wczas ogrzać się ciepłą herbatą i przetrącić śniadanie, a załatwiwszy te nieodzowne potrzeby życia, wzięliśmy się do opatrzenia broni i uporządkowania reszty myśliwskich atrybutów. Dzień już na dobre zaświtał, kiedy nadjechały nasze podwódki. Nietracąc zatem czasu, dalejże na wozy, gdzie kto trafił. Ja pospieszyłem ulokować się razem z Tychonem, by w drodze korzystać z jego gawędy, gdyż znam go z tej strony, że lubi bawić myśliwych dyskursem, z którego można wnioskować, w jakiem miejscu wypadnie znaleść lepsze stanowisko. Jadąc do kniei opowiadał mi Tychon o odbytych tam polowaniach, opisując zarazem szczegóły tej miejscowości, gdzie można się spodziewać zwierza, którędy powinienby spłoszony uchodzić, zapewniał, że znajdą się tam i dziki i kozy, a między innemi opowiadał o wilku, który już od trzech lat stale znajduje się w lesie, zjada kozy, a podstrzałkami tak się opasł jak kaban, że p. konduktor leśny kilka już razy na niego polował, lecz zawsze wilk ten uchodził szczęśliwie, a obecnie p. konduktor obiecał, że ktoby go zabił, pozwoli cały rok bez biletu polować, tyle ten wilk robił w kniejach szkody. Dojechawszy do miejsca, każdy zajął wskazane sobie stanowisko, a Tychon z jednym z moich myśliwych z psami ruszyli do kniei. Stary myśliwy Potockiego także podążył za nimi. Nie uszło i pół godziny, jak psy trafiły na sarny, które się rozbiegły na wszystkie strony i ledwie nie każdy z nas miał przyjemność strzelać do nich, wybierając kozła, z tych dwa zostało naszą zdobyczą. Jednego zabił mój brat, a drugiego Maryan Zurakowski. Mnie tylko to polowanie nie powiodło się. Ogromny kozioł szedł prosto na mnie, przypuszczam go na piętnaście kroków, i w tym momencie, gdy dotykając cyngla miałem go położyć trupem, rozległ się z przeciwnej strony strzał, skierowany również do niego, spłoszony kozioł skoczył w bok i uszedł mojej kuli. Był to strzał jednego z kolegów, który niedosłyszawszy mojego pogwizdu, pewien był, że kozioł uchodzi bezkarnie, i chociaż dystans był dość daleki, probując strzelby, puścił kulę. Kozła nie trafił, a mnie niespodziewanego figla wyrządził. Już mieliśmy schodzić z miejsc, gdy dały się słyszeć w głębi kniei dwa strzały. Stary myśliwy Potockiego strzelił lotkami do odyńca, ranił go, gdyż dzik zaczął się w kółko kręcić, drugim strzałem mógłby go położyć, lecz widocznie sam się nastraszył, rzncił bowiem strzelbę na ziemię i wlazł na drzewo, hukając na mojego strzelca, którego się ciągle trzymał z obawy, by nie zabłądzić w nieznajomym lesie, gdzie po raz pierwszy się znajdował. Usłyszawszy nawoływanie, zaczęliśmy na głos ten podążać. Doszedłszy do miejsca zobaczyliśmy starego myśliwca na drzewie, a strzelbę na ziemi, on zaś nam powiada: pilnujcie, bo w tych krzakach jest dzik postrzelony. Obeszliśmy gąszczak, lecz dzika już nie było, pozostały tylko tropy racic, gdzie w kółko chodził i krwi dosyć. „Złaź stary z drzewa, bierz strzelbę, pójdziemy do miejsca, gdzie był drugi strzał; może kto dobił twojego dzika". Uszedłszy nie więcej nad dwie staje, widzimy mojego strzelca, jak się forsuje, ciągnąc okrutne wilczysko. Wilk ten po pierwszym strzale wymykając się, wprost na mojego strzelca naskoczył i padł trupem. Ogromnyż to był wilk, jakiego nie zdarzyło mi się widzieć. Trofeami więc tego dnia były dwa kozły i wilk, tyle poszukiwany. Słusznie przysłowie mówi: nosił wilk kozy, ponieśli i wilka. Tychon uradowany, widząc u nóg swoich tego samego wilka, o którym tyle mi nagadał, zaczął rozliczać jaką otrzyma nagrodę od p. konduktora leśnego za zgładzenie szkodnika i to z takim ferworem, jakby sam był jego pogromcą. Wróciliśmy do kwatery z ułożonym już projektem, gdzie mamy nazajutrz przydybać dziki. Wczorajsze zamoczenie nóg widocznie na mnie oddziałało, gdyż czułem pewne zmęczenie i jakieś dreszcze, lecz niechciałem poddawać się i nazajutrz również towarzyszyłem kolegom. Zabiliśmy jeszcze dwa kozły, a dziki, chociaż były przydybane, uszły jednak znowu bez strzału. Wyjechaliśmy tego wieczora nocnym pociągiem, a gdy nadedniem stanąłem w domu, uczułem się nie dobrze. Trzy tygodnie przeleżałem w gorączce i dzisiaj, gdybym wiedział, że przestroga, pochodząca z przykrego i niebezpiecznego doświadczenia, przyda się komu z łaskawych czytelników, to powiedziałbym mu, że w końcu Listopada nie uchodzi w butyneczkach brodzić po wodzie.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Łęczyca.

Czytając pilnie „Łowca", napotykałem nieraz korespondencye wielce pouczające w przedmiocie ograniczeń czasu polowania, a tem samém ochrony i pomnożenia zwierzyny; o przyczynach zmniejszania się lub zwiększania w pewnych miejscowościach zwierzostanu, o nadmiernem tępieniu i w ogóle nieracyonalnem tu i owdzie gospodarstwie myśliwskiem. Korespondencye podobne w takiem piśmie jak ,,Łowiec" nie powinne zostać martwą literą, lecz być ogniwem wzajemnego porozumiewania się w celu dążenia do ulepszenia i podniesienia tego, co ma jakikolwiek związek z traktowanym przedmiotem. Takie przekonanie powoduje mnie do przesłania sz. Redakcyi niniejszego artykułu, w którym pragnę streścić sprawozdanie z Łęczyckiej ziemi za czas ubiegłego sezonu myśliwskiego, to jest od jesieni r. z. i dać obraz stanu naszego myśliwstwa. Powiat Łęczycki do lesistych bynajmniej zaliczonym być nie może, największe w nim lasy mające od 30 do 50 włók przestrzeni, należą do dóbr: Poddębice, Bałdrzychów, Sobienie, Krzemień, Lućmierz, Pełczyska, Gostków i Sokolniki. Lasy te poprzerzynane rzekami Bzurą i Nerem, zadrzewione są po największej części sośniną i olszyną, znajdują się tam, acz w niewielkiej ilości, sarny, lisy, borsuki, a nad brzegami rzek wydry. Dziki trafiają się co roku w jesieni po nad Nerem, przechodzące z lasów Rossoszyckich i Prusinowickich w Sieradzkiem. Cietrzewie gnieżdżą się w lasach Bołdrzychowskim, Krzemieńskim i Pełczyskim w małej liczbie. Na błotach Łęczyckich, nad Bzurą i Nerem jawią się kaczki, krzyżówki, ceranki, podgorzałki i krakwy; kilka gatunków kur wodnych, bekasy, dubelty, bataljony, łyski, kuliki i bąki; a w przelocie zatrzymują się dwa razy na rok gęsi. Najmniej dostępne błota posiadają kolonie Drozdów i Kossew, tam gnieżdżą się żórawie i czaple. W skutek znacznej eksploatacyi torfu na niektórych osuszonych błotach, liczniej powracają do nas bociany, których brak przez lat kilkanaście był bardzo widocznym. Tej samej przyczynie zawdzięczamy obfitość ptactwa wo-

dnego i błotnego, które zaczęło także nas opuszczać, torfowiska bowiem te napełnione wodą, ściągają się z błót, gęsto zarośnięte rozmaitego rodzaju wodorostami, są nęcącém dla błotnego ptactwa przytuliskiem, a nawet często bywają polem popisu przebiegłości lisiej. Gospodarstw myśliwskich, w ścisłem znaczeniu, w Łęczyckim powiecie nie ma, w niektórych jednak dobrach zrobiono jakiś krok zmierzający do ochrony zwierzyny, mianowicie w majątkach Lućmierz i Leśmierz Wernerów; Cedrowice i Sławoszew Schlösserów; Parski, Zduny i Pełczyska Władysława Böttichera; Siedlec i Dąbie Lud. Böttichera; Góra bałdrzychowska, Bałdrzychów i Sopień Borysa Neudgardta; Poddębice i Niewież Napol. Zakrzewskiego. W majątkach tych, kontraktem zabrania się officyalistom utrzymywać broń myśliwską, a większe polowania odbywają się dwa razy do roku, t. j. w jesieni na kuropatwy, i w grudniu lub styczniu na sarny i zające. W innych majątkach tępienie zwierzyny odbywa się bez myśli na przyszłość, z uwzględnieniem zaledwie stosownych pór roku, lub też nawet bez względu na takowe. Oprócz wyżej wspomnionych miejscowości, nie dają się także nigdzie spostrzedz przedsiębrane właściwe środki dla ochrony łownej zwierzyny od drapieżnych zwierząt i ptaków, a przytem psy włościańskie, chodząc samopas w pole bez knebli, przyczyniają się do niszczenia gniazd i tępienia młodych zajęcy. Tu muszę z przyjemnością zanotować, że wobec smutnego stanu w ogóle naszego gospodarstwa łownego, są niektórzy amatorowie myśliwi, nieposiadający wprawdzie dóbr ziemskich, jednakże korzystając z istniejących przepisów o polowaniu, troskliwie dbają o ochronę zwierzyny. Pierwszym z nich jest p. Seweryn Bielski wójt gminy Tkaczew, który dzierżawiąc polowanie na gruntach włościańskich i drobniejszych folwarkach swej gminy, wyznaczył sołtysom nagrodę za prześladowanie wkradających się w jego prawa, polowania zaś dla znajomych myśliwych systematycznie urządza w porze właściwej z naganką lub na pomykanego. Podobnież postępują pp. Tymieniecki sędzia śledczy, Kołaczkowski sędzia gminny, Korejwo obrońca sądowy, Nowicki właściciel wsi Borki i Trautsolt pisarz gminy Leśmierz. W tem miejscu najmocniej przepraszam wszystkich panów, których tu pozwoliłem sobie nazwiska wymienić; sądzę wszakże, że dla podobnych tak rzadkich u nas myśliwych, jak najlepsze należy się uznanie, gdyż starania ich zapobiegły strasznej rzezi kuropatw i zajęcy, sprawianej przez zgraję różnego rodzaju kłusowników wdzierających się na cudze pola. W Łęczyckim powiecie polujących jest około 400 lecz z tej liczby prawdziwych myśliwych naliczyć można nie więcej jak 100. Olbrzymia jak na jeden powiat ilość pseudo-myśliwych, składa się po największej części z niektórych obywateli, oficyalistów, służby dworskiej, kolonistów, żołnierzy urlopowanych, zwykle bez posiadania pozwolenia na utrzymywanie broni i na prawo polowania. Ze wszystkich znanych mi miast powiatowych, Łęczyca szczególniej odznacza się wielką liczbą tępicieli zwierzyny, nie licząc bowiem kilkunastu oficerów stale tu konsystującego pułku, znajduje się polujących 30, czyli że na każdych 200 mieszkańców przypada 1 myśliwy. Tymczasem miasto Ozorków mając do 9000 ludności, oprócz znajdujących się tam oficerów, posiada tylko 3, posada Parzęczew 4, posada Grabów 4, Poddębice 3 i posada Piątek 5 myśliwych. Na powiat Łęczycki w r. b. wydano 241 pozwoleń na utrzymywanie broni myśliwskiej, zatem według cyfry polujących wyżej podanej, znajdowałoby się w powiecie broni bez pozwolenia władzy około 159 sztuk; jest to cyfra znaczna przy poważnej liczbie strażników ziemskich i żandarmów, lecz daleka od przesady. W ubiegłym sezonie myśliwskim, w jednym znaczniejszym sklepie w Łęczycy sprzedano śrótu 1330 funtów; jeżeli zatem przypuścimy, że w pozostałych pięciu sklepach żydowskich sprzedano w każdym średnio po 900 funtów, w Ozorkowie zaś i czterech posadach po 500 funt., to otrzymamy poważną cyfrę 8330 funtów śrutu na powiat, nie wliczając kupionego w innych przyległych miastach. Dziwić się należy, że mimo takiego tępienia zwierzyny, spotyka się jeszcze znaczna ilość kuropatw i zajęcy, co głównie zawdzięczać należy urodzajnej glebie i z powodu blizkich fabryk cukru, uprawie buraków na znacznych przestrzeniach. Z powodu równego terenu ziemi Łęczyckiej; zwykłe polowania odbywają się z wyżłami na błotach i polach, większe zaś z naganką w lasach lub z kotłem w polu. Chartów i ogarów znajduje się bardzo mało.

Do większych polowań zaliczyć można następujące: We Wrześniu r. z. z wyżłami na kuropatwy. Na polach dóbr Parski ½ dnia, myśliwych 6, ubito kuropatw 93; na polach dóbr Siedlec 1 dzień, myśliwych 5, ubito kuropatw 121; na polach dóbr Dąbie 1 dzień, myśliwych 3, ubito kuropatw 52; na polach Wilczkowce godzin 3, myśliwych 5, ubito kuropatw 34, na polach Topola Kątowa godzin 3, myśliwych 3, ubito kuropatw 32.

W Styczniu r. b.: w lesie majątku Zdany 1 dzień z nagonką 9, ubito kozłów 3, lisów 4, zajęcy 82; w lesie majątku Lućmierz 2 dni z nagonką 14, ubito kozłów 5, lisów 2, zajęcy 96; w lesie Sokolniki 1 dzień z nagonką 5, ubito kozłów 5, lisów 2, zajęcy 13 i 1 cietrzewia. Na polaoh wsi Tum (z kotłem) 1 dzień z nagonką 15, ubito kozłów 5, lisów 2, zajęcy 18 i 2 kuropatwy; na polach Witaszewice i Podgórzyce 1 dzień z naganką 7, ubito kozłów 5, lisów 2, zajęcy 12. Dla przekonania się w przybliżeniu o pozostałej iłości zajęcy do rozmnożenia się w r. b., odbyto w Siedlcu w końcu Lutego tak zwane polowanie próbne bez broni z nagonką w polu i widziano 66 zajęcy. Ponieważ, jak wyżej wspomniałem, polowania nasze powszechnie odbywają się z wyzłami, dla tego powiat Łęczycki może się poszczycić doborem psów tego rodzaju. Można tu znaleść pointery i settery czystej rasy i wybornych przymiotów, a celuje między niemi w majątku „Góra bałdrzychowska" prześliczny setter „Belo". Pies ten, znalazłszy w ligustrowym płocie ogrodu wysiadającą jajka kuropatwę, do czasu wyprowadzenia młodych, warował w odległości czterech kroków od gniazda, wstając tylko do przynoszonego mu jedzenia; a chociaż był odwoływany a nawet bity o to, niebawem powracał na stanowisko, zajadle odpędzając psy, koty, a nawet żyda dzierżawiącego ogród; jednemu tylko lokajowi, który mu jedzenie przynosił i panu swemu pozwalał przybliżać się do gniazda.

Włodzimierz Pickarski.

KRONIKA.

†

Kirem szczerej żałoby okrył się kraj nasz cały po zgonie

Dra MICHAŁA GNOIŃSKIEGO.

Wszystkie pisma czasowe wyrażały głęboki żal z powodu tak dotkliwej straty, podnosząc wielkie cnoty i zasługi zmarłego. My straciliśmy przezacnego i wielce gorliwego wiceprezesa naszego Towarzystwa. Jak żyjącego otaczaliśmy najżywszą czcią i wdzięcznością za trudy podjęte przez niego w krzewieniu naszej sprawy, tak zmarłemu towarzyszy do wiecznego spoczynku serdeczna nasza łza żalu i wdzięcznej pamięci. — Chwała i spokój jego cieniom!

Z nad Sanu.

Stara to przypowieść, trafna też dla myśliwych: „Coś latem zgospodarzył, zimą będziesz warzył“, czyli jak chroniłeś zwierzynę w czasie lęgu, tak z pełną lub pustą torbą będziesz wracał z łowów. U nas w górach tak jak u was na dołach nie istnieje już dawniej praktykowany zwyczaj strzelania do kóz, sarn i łań jelenich, jakkolwiek my tu *antiquo more* polujemy z gończakami. Nikt w naszych przepaścistych kniejach do kozy i łani strzelić się nie poważy. Jakośby tam można obejść c. k. Starostwo i argusowe oko wielce szanownego pana Żurowskiego, ale *horror* wobec siebie i współbraci w Nemrodzie powstrzymuje. Dawniej, gdy istniał zwyczaj nieprzepuszczania na łowach płci pięknej sarniego i jeleniego rodu, bywało jej bardzo skąpo. Jakżeż dziś? Jakkolwiek z powodu siedmiu krzyżyków, gniotących moje barki, dawno już zawiesiłem strzelbę na kołku, to jednak czując w sobie nie wygasłą dotąd passyę myśliwską, tropię po moich polach i lasach zwierzynę, której, muszę to przyznać, znacznie jest więcej, jak za lat moich młodych. Dowiaduję się też o zwierzynie u sąsiadów bliższych lub dalszych jakoteż u wieśniaków. Wszyscy zgodnie uznają rozmnożenie się jej. Nawet jelenie, które nielitościwie tępiono do niedawna, urosły w liczbę i stadami przebywają w kniejach podbeskidowych. Tak w Magórze Jaworczańskiej ma się znajdować stadko, złożone z 4 łań, jednego kapitalnego rogacza i 2 cieląt. Nie wytrzymam, pojadę do Jawory i bogdaj oko popieszczę widokiem tych synów puszczy, lub zasiadłszy w kołybie starego watahy Oskorypa będę słuchał gromkich poryków jelenich i marzył o czasach niestety już niepowrotnych. Tak to, dużo u nas zwierzyny, jakkolwiek konserwatyści umiemy czcić nowość, gdy jest pożyteczną, jak naszą ustawę łowiecką. Niemniej trzymamy się kardynalnej reguły dzikiego gospodarstwa łowieckiego, oszczędzania zwierzyny. O stanie niedźwiedzi w Beskidach, skoro niedźwiednicy jak zwykle jesienią przybędą do mnie za kupnem kartofli i uwiadomią o wykrytych gawrach, nie omieszkam donieść wielce mnie miłemu „Łowcowi“.

L.

Szydłowce.

O ile polemika prowadzona w przyzwoitych formach może być bardzo miłą, a często nawet bardzo wesołą zabawką, o tyle gdy wstępuje na dobór słów furjoso wygłaszanych jak słowo „kłamstwo“, skreślone z naciskiem przez pana Głuchowskiego, staje się podług mego zdania niesmaczną dla czytającej publiczności. Korespondencya lipcowa p. Gł. wywarła takie na mnie wrażenie, iż z pewnym niesmakiem biorę dzisiaj po raz ostatni pióro w rękę aby przeprosić p. Gł. za moje powątpiewanie co do dalekonośnych strzałów skromnych Lankastrówek, i aby upewnić łaskawych czytelników „Łowca“, że nie jestem tak mocno drażliwym, jak się p. Gł. wydało. Nigdy nie było moim zamiarem zarzucać „kłamstwa“ autorowi tego dzielnego strzału, gdyż przypuszczam, że na 1.000 skromnych Lankastrówek zdarzy się czasem jakiś rzadki wypadek doborowego strzału, sądzę jednak, że pojedyncze wypadki nie mogą stanowić reguły, zatem trudno je stawiać jako przykład dla innych systemów broni myśliwskiej. Jest rzeczą dowiedzioną, że o ile dobre to jest drogie Lankastrówki są istotnie wyśmienitą bronią, o tyle skromne to jest tanie tak zwane tuzinkowe, należą do najgorszych gatunków w świecie. Teschnerówki zaś są dotychczas znane w jednym w ogóle gatunku co do dobroci materyału i starannego wykończenia, a jeżeli jest jaka różnica w cenie, to pochodzi tylko z zewnętrznego upiększenia, co przecież na dobroć strzału nie może mieć żadnego wpływu. Wszystkie Teschnerówki, które dotychczas poznałem, nie pojedyńczymi wypadkami wyborowego strzału mogą się pochwalić, ale przeciwnie zawsze jednakowo wyśmienicie biją, a jeżeli ktoś zechce szukać w nich jakich usterek, to w takim razie kwestye strzałów wypada zupełnie pominąć. Szkoda, że nie wiedziałem, iż szanowni medycy interesują się prawdziwością zamieszczonych w „Łowcu“ korespondencyi, gdyż może zaprosiłbym którego z tych panów do dania fachowej opinii o wilku, coby się znakomicie przyczyniło do łaskawszej krytyki ze strony p. Gł., który niepotrzebnie odwołuje się na świadków co do prawdziwości słów swoich. Ja ze swej strony co się tyczy strzału i ran, jakie wilk odniósł, nie myślę stawiać świadków, tylko tyle dodam, że wolno p. Gł. wierzyć lub nie, iż wilk z dwoma śmiertelnymi strzałami istotnie zadziwiającą odległość potrafił jeszcze przebyć, a jeżeli p. Gł. nie chce temu wierzyć, najmniejszej urazy nie mam z tego powodu do niego. Że mnie p. Gł. swoją interpelacyą wcale nie pogniewał, niech będzie dowodem wesoły nastrój dzisiejszej mojej korespondencyi, boć przecież człowiek zgryziony nie mógłby tak długo i swobodnie pisać, a że w polemikach uchodzą różne żarciki lub docinki w granicach, nie przekraczających form przyzwoitości, których p. Gł. widocznie nie lubi, to już nie moja w tem wina, że się sam gniewa i mnie o to posądza. Tak już mało mam ochoty do polemizowania z p. Gł., że nawet nie pojadę do Lwowa przypatrzeć się tym nieszczęśliwym miedziakom, pokiereszowanym przez skromną Lankastrówkę p. Gł, gdyż znowu musiałbym o tem zdać relacyę łaskawym czytelnikom i może po raz wtóry narazić się niepotrzebnie p. Gł. Ponieważ nie myślę już więcej zapełniać szpalt „Łowca“ kwestyą poruszoną przez p. Gł., nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pożegnać szanownego kolegę w św. Hubercie, zapewniając go, że ani cienia gniewu jego interpelacja nie rozniecila w mem sercu, jak również prosić, aby wybaczył mój żarcik o muzeum, gdzie takie niedbalstwo nie powinno być tolerowanem, by rzeczy wartościowe rdza pożerała. Jeżeli p. Głuchowski ma rzeczywiście takie przeświadczenie o muzeach w ogóle, to wcale się nie dziwię, że moją propozycyę stanowczo musiał odrzucić.

Antoni Walewski.

Krukienice, Sierpień.

W „Dzienniku Polskim“ z d. 6. Sierpnia b. r. wyczytałem wiadomość, że ukąszenie bociana ma być nader niebezpiecznem, a nawet życiu zagrażającem. Muszę temu stanowczo zaprzeczyć na podstawie własnego doświadczenia. W r. 1853. gdym był młodym chłopcem, siadł raz bocian na kominie domu, w którym mieszkałem, stanął na jednej nodze i głowę ukrył pod skrzydło. Pragnąc mu zrobić psotę rozebrałem się i cichutko po drabinie podkradłszy się chwyciłem bociana za nogę. W tejże chwili przerażony ptak uderzył mnie w głowę skrzydłem, a dziobem jak sztyletem zranił w nogę poniżej kolana tak dotkliwie, że krew w jednej chwili całą nogę zalała. Rana ta jednak wkrótce najzupełniej się wygoiła. Później hodowałem wiele ptactwa i zwierzyny, a między temi dwa żórawie, które karmiłem mięsem bocianiem. W tym celu zabiłem w jednym roku przeszło sto bocianów. Pewnego razu zbarczyłem bociana, który następnie zażarcie się broniąc zranił mi rękę, która w dwóch dniach się wygoiła. Pies mój legawy skaleczony mocno przez bociana, wnet był zupełnie zdrowym. Innym razem zbarczony bocian ciął jednego z goniących go pastuchów bez szkody dla zdrowia. Bociany, o których wspominam, żyły nad błotami i żywiły się żabami, rybami i drobnem wybieranem z gniazd ptactwem. Być może, iż bociany, o których p. R. Bruneck pisze, karmiły się jadowitymi wężami i z tego powodu rany były tak niebezpiecznemi. Kwestyę tę niech rozstrzygną przyrodnicy.

Jan Ostrzechowski.

Dnia 18. Lipca wytropiono w państwie Komańcza, w powiecie Sanockim, w rewirze do Duszatyna należącym, cztery rysie. Jednego z nich ubito, a trzy umknęły do lasów hr. Krasickiego z Liska. Należałoby w całej okolicy mieć baczne oko na tych srogich rabusiów.

Wład Pilszak, leśniczy.

Piszą do „Koresp. Płockiego“. W dniu 22. Lipca b. r. burza połączona z gwałtowną ulewą, grzmotami i uderzeniem kilku piorunów, przeciągnęła w porze popołudniowej w okolicy Budzanowa; po przejściu jej po nad wsią Podleck w gm. Łubki, zauważano na około zarybionego stawu do dworu należącego, a po za wsią położonego, wyrzuconych na ląd kilkudziesięciu nieżywych szczupaków, z których każden po kilka funtów ważył. Staw zaś około 200 prętów kwadr. obejmujący, głęboki, niezarośnięty, czystą wodę zwykle mający pokryty był zieloną pleśnią zwykłą wodom zepsutym. Na powierzchni jego pływało kilkadziesiąt ryb uśniętych, co dało powód do zajęcia się natychmiastowego ich wyłowieniem dla uniknięcia psucia się. Po kilkakrotnem zaciągnięciu siecią, wydobyto około 800 sztuk różnej wielkości uśniętych szczupaków, okoni i płoci. Wszystkie te ryby, były uśnięte prostopadle łbami w szlamie, którym miały zapełnione otwory ustne i podskrzela. To samo zauważono poprzednio u większych sztuk znalezionych na brzegach. Z wyżej opisanych gatunków ryb, przy połowie nie wydobyto ani jednej żywej sztuki, natomiast karasie wyciągano żywe i zupełnie zdrowe, i te w tym stanie utrzymują się dotąd.

W czasie burzy miejscowi ludzie, zauważyli uderzenie pioruna, czy to w sam staw, czy też w pobliżu niego. Zachodzi pytanie, czy przyczyną uśnięcia ryb było właśnie to uderzenie pioruna? A w takim razie dla czego karasie pozostały żywymi? Czy też spadnięcie z ulewą jakiejś substancyi trującej dla szczupaków, okoni i płoci, a nieszkodliwej dla karasi? Ale wtedy jak wytłumaczyć wyrzucenie na lądy kilkudziesięciu dużych szczupaków? Radzibyśmy mieć wyjaśnienie opisanego faktu przez ludzi kompetentnych. Nadmieniam, że w parę godzin przed burzą, przechodzący koło opisanego stawu ludzie, zauważyli rzucające się w górę szczupaki, co zwykle ma miejsce w czasie upałów przed deszczem: były one zatem zdrowe i uśnięcie ich, tylko niezwykłemu jakiemuś wypadkowi w trakcie burzy, przypisać należy. Nadto trzeba tu dodać, że zielona pleśń na wodzie po tej ulewie, i w innych miejscowościach jak n. p. we wsi Woźniki zauważoną była — nawet na kałużach z deszczu zebranych — w zarybionych jednak stawach, żadnej szkody nie zrządziła. *W.*

Biały kozioł. Do Laxenburga przywieziono dla zbiorów arcyksięcia Rudolfa kozła, który z wyjątkiem kilku czerwonych pasów na nogach, jest zupełnie białym.

Hrabia Ant. Zichy schwytał w Siedmiogrodzie dwa młode trzymiesięczne niedźwiadki i wystawił je w Budapeszcie. Dochód z wystawy przeznaczył na cel dobroczynny.

Niderlandzkie Towarzystwo łow. „Nimrod“ postanowiło zwoływać co roku międzynarodowy kongres kynologiczny, na który każde towarzystwo łowieckie może wysłać dwóch delegatów. Pierwszy kongres odbył się w Amsterdamie w Sierpniu t. r.

Z Perechińska (w Stryjskiem) piszą do „Diła“: W naszych stronach rozmnożyły się bardzo niedźwiedzie i robią wielkie szkody. Zeszłego roku spędzili nasi włościanie bydło z połonin, za które zapłacili 13.000 złr. Już po siedmiu tygodniach, chociaż bydło nie spasło jeszcze paszy, musiało ustąpić, ponieważ niedźwiedź zabił parę wołów, a kilka pokaleczył. W tym samym roku zjadły wilki kilka koni włościańskich i 23 owiec. Dnia 12. Lipca b. r. zabił niedźwiedź strzelca Diakowa z Łyciwki, który strzelał do niego, a przed rokiem zabił dwóch owczarzy w sieniach chaty za wsią w Perechińsku. W przeciągu roku zabito i otruto strychniną 15 niedźwiedzi starych i młodych, wiele jednak jeszcze zostało. W jednym starym niedźwiedziu, którego zastrzelił pobereżnik, znaleziono 5 kul zarosłych. Dzika zwierzyna rozmnożyła się bardzo w naszych okolicach i dobrze by było, gdyby Sejm krajowy wyznaczył premje za niszczenie jej tak, jak to dawniej wyznaczał. Obecnie strzelcy i leśniczowie kameralni nie mają interesu narażać za darmo życia, tem mniej chłop strzelec, któremu odbierają strzelbę, skoro się dowiedzą, że poluje.

Nowy nieprzyjaciel ryb. W *Oesterr. Forst.-Zeitung* opowiada zarządca rewiru Wisły w dobrach arcyksięcia Albrechta, że schwytał na gorącym uczynku nowego szkodnika w gospodarstwie rybiem, mianowicie poczwarkę muchy, zwanej *Limnophilus rhombinus*, która wciągała do swego schowku, złożonego z kamyczków, drobny narybek łososia. Ponieważ mucha ta w niektórych strumieniach nader licznie się pojawia, przeto zwracamy na nią uwagę gospodarzy. Opis much z rodzaju *phryganidae* znajduje się w Brehma Thierleben 2 wydanie.

Hodowla raków. Dzisiaj, kiedy wszystkie źródła dochodów albo zupełnie są wyczerpane, albo przynoszą takie zaledwie zyski, które chyba tylko koszta produkcyi pokryć mogą, należy skrzętnie poszukiwać tego wszystkiego, co jakikolwiek przynieść może dochód, nie lekceważąc drobnych nawet na pozór rzeczy. Do takich gałęzi przemysłu należy hodowla raków. Mięso tego skorupiaka stanowi przysmak poszukiwany przez wszystkich, to też dotychczas usiłowano dostarczać na targi jak najwięcej tego towaru, nie troszcząc się wcale o rozmnożenie go w wodach, w których się znajduje. Pod tym względem postępowaliśmy równie niegospodarnie jak z rybami, ze zwierzyną i z lasami a skutki tej niegospodarności z każdym dniem prawie stają się widoczniejszymi. W tym przedmiocie znalazłoby się tyle do powiedzenia, że nie starczyłoby na to miejsca, ograniczymy się zatem na podaniu niektórych wskazówek hodowli raków dotyczących. Na wstępie należy zaznaczyć, iż raki dobre są do jedzenia w tych tylko miesiącach, w których w łacińskiej nazwie nie ma głoski *r*, a więc: Majus, Junius, Julius, Augustus czyli w Maju, Czerwcu, Lipcu i Sierpniu; w tych zatem tylko miesiącach powinne być poławiane, ochraniane zaś raki młode, niewyrosłe i takie, które zmieniają skorupę czyli lenieją, co poznać można po miękkim pancerzu. Należy wiedzieć, że rak rośnie tylko przez czas krótki każdego roku to jest w czasie zmiany skorupy, gdy ta już stwardnieje, wzrost raka pozostaje w mierze aż do następnego roku. Również ochraniane być powinne samice z ikrą czyli jajami pod ogonem, których bywa 100 do 125 sztuk; łowiąc zatem samice z jajami niszczy się przychowek, który po latach trzech lub czterech dostarczyłby tyleż wyrosłych raków. Raki lubią bieżącą, dość zimną wodę, ocienioną drzewami rosnącemi na brzegu, pomiędzy korzeniami, w których znajdują bezpieczne schronienie. Wszelkie więc rzeczki i strumyki z dnem piasczystem, z brzegami zarosłymi wierzbą i olszyną, są do hodowli raków przydatne, byleby tylko nie były zaszlamione. Raki przebywają, też chętnie pomiędzy kamieniami, jeśli te nie leżą zbyt głęboko, ale owszem wystają nieco nad wodę. Rośliny wodne, jak sitowie, tatarak i t. p. również są dla raków dogodne, ponieważ pomiędzy niemi mogą się w czasie upału ukrywać. Na początku wiosny wychodzą z jaj młode, które przez czas niejaki trzymają się ogona matki za pomocą drobnych nitkowatych włókienek. Po dwu mniej więcej tygodniach oddzielają się od ogona matki, która wychodzi szukać pożywienia, lecz znowu wraca do swego potomstwa i okrywa je swym ogonem. Chcąc zaprowadzić hodowlę raków, należy wybrać na odpowiedniej wodzie przestronne miejsce, mające najmniej 18 stóp długości przy 9 stopach szerokości, ale większa przestrzeń byłaby pożądaną. Wystarczy to na 2000 raków, z których połowa będzie samców, a druga samic. Głębokość wody nie powinna przenosić 3 stóp, w brzegach powinne się znajdować nory i wydrążenia, których liczbę można zwiększyć za pomocą nakładzionych mniejszych kamieni polnych, najlepiej wapiennych; woda powinna mieć ułatwiony przypływ i odpływ, stojąca bowiem łatwo się psuje i osadza na dnie szlam, którego raki nie lubią. W Październiku wpuszczają się raki do przeznaczonego dla nich mieszkania. Przez zimę ukrywają się w norach, a dopiero przy nastaniu cieplejszej pory to jest w Maju, wyłażą ze swych kryjówek szukając pożywienia z wielką żarłocznością, aby wynagrodzić straty poniesione przez głód zimowy i zmianę skorupy. Gdy już małe raczki odłączą się od matek, dobrze jest wtedy stare wyłowić i przenieść w inne miejsce, aby przechowku nie pożerały, co się bardzo często zdarza przy znanej żarłoczności raków. Żarłoczność ta wszakże bardzo ułatwia połów, za pomocą przywiązanej do kija zanęty, którą być może odarta ze skóry żaba lub kawałek cuchnącego mięsa. Gdy raki zanętę obsiędą, wtedy podstawia się zręcznie siatka, wolno rozpięta na małej obręczy i raki się wydobywają. Młody przechowek należy karmić glistami, żabami i mięsnymi odpadkami kuchennymi. Jeśli miejscowość sprzyja, można założyć kilka takich raczarni i jedną z nich przeznaczyć na odrostową, z której wybrane, wyrosłe (trzyletnie) raki stanowić będą produkt do spożycia lub towar do sprzedaży. Raki najlepiej przesyłać w drewnianych naczyniach wyłożonych mokrą pokrzywą. Jak widać z opisu, hodowla raków jest łatwą i może być korzystną; główną tu trudność stanowi zabezpieczenie się od amatorów cudzej własności, których tylu na każdym kroku spotykamy. Łatwość połowu wieczorami o zachodzie, lub rankami o wschodzie słońca, albo też w nocy przy świetle, ściąga wiele próżniaczej gawiedzi, dla której wszystko, co cudze i mozolnym trudem nabyte i pielęgnowane, jak sad, pasieka, ryby, zwierzyna, raki, ma niewysłowiony urok.

Kuryer rolniczy.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.